

RODZINA POLSKA

MIEŚIĘCZNIK
ILUSTROWANY



PAN PREZYDENT PODPISUJE NOWĄ KONSTYTUCJĘ.

DOBRA I TANIA KSIĄŻKA

jest nie tylko przyjacielem,
ale też strawą dla duszy naszej. W długie wie-
czory zimowe dobra i zajmująca książka jest dla każdego ko-
nieczna. Bez książki człowiek nie wie co z sobą i z czasem zrobić. Tymczasem
na zawadzie stoi nieszczęsny brak gotówki, któryby umożliwił nabycie potrzebnych pism.
Uwzględniając jaknajdalej obecne trudne czasy, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów rozsyła
drukowane u siebie powieści i opowiadania po najniższych cenach, byle tylko
otworzyć drzwi dla dobrej a przede wszystkim treściwej książki
i uprzystępnąć czytelnictwo najszerszym kołom
w mieście i na wsi.

**Niedawno ukazał się najnowszy
katalog** naszych wydawnictw z cenami
**zniżonymi prawie do kosztów
własnych**

Załadaj zaraz katalogu

Książki do nabycia
Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów
lub
Księgarnia Przeglądu Katolickiego
WARSZAWA, KRAK. PRZEDM. 71

UWAGA

Jeżeli potrzebujesz jakąkolwiek książkę z innych dzie-
dzin, nie szukaj długo, lecz napisz natychmiast do

KSIĘGARNIA PRZEGLĄDU KATOLICKIEGO WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 71

Na życzenie księgarnia sprowadza i dostarcza książki
z wszystkich wydawnictw krajowych i zagranicznych bez żad-
nej dopłaty za zamówienia.

O ile tylko możliwe uprasza się o łaskawe podanie ty-
tułu książki, autora, miejsca i roku wydania.

Cena ogłoszeń zatekstowych: $\frac{1}{4}$ str. — zł 700, $\frac{1}{2}$ — zł 380, $\frac{3}{4}$ — zł 200, $\frac{1}{8}$ — zł 120, $\frac{1}{10}$ — zł 70, $\frac{1}{32}$ — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOŚI:

ROZCZNIEM:

Polska	7 zł.		Czechosłowacja	40 kor. cz.
Niemcy	5 R. mk.		Ameryka	2 dolary
Francja	25 frank.		Inne kraje	7 fr. szw

PÓŁROCZNA Prenumerata w Polsce — 3 50 zł; KWARTALNA — 2.00 zł. CENA POJEDYNCZEGO numeru — 70 gr.

Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71. — Telefon: 240-15.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 11—1 przed poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK
LUSTROWANY

ROK IX. WARSZAWA MAJ 1935.



WNIEBOWSTAPIENIE

<http://rcin.org.pl>

WYJŚCIE Z CHAOSU

Legenda wschodnia opowiada, że do pewnego możnego króla przyleciał raz anioł Boży z wysokiego nieba w gošcinę. A ponieważ podobala mu się mądrość, cnota i bogobojność króla, przeto, żegnając się z nim, powiedział doń:

— Powiedz, czego pragniesz dla swego narodu, a będzie mu spełnione, pod warunkiem, że to samo otrzyma w dwójnasób także każdy z twoich sąsiadów.

Sędziwy król pochylił siwą głowę w mądrej zadumie. Myślał długo, a anioł czekał cierpliwie, czasem tylko strzepując srebrzystym skrzydłem. Wreszcie król odpowiedział:

— Spraw, o aniele, aby każdy z moich poddanych utracił... jedno oko!

Z boleśnie skrzywioną swoją niebiańską twarzą odleciał anioł w przestworza...

Ale duch tego króla, który gotów był każdego swego poddanego oślepić na jedno oko, byleby za tę cenę wszyscy jego sąsiedzi poślepli na oba oczy — żyje do dziś między narodami.

Narody boją się siebie wzajemnie... Nie ufają sobie...

W niepokoju o najbliższą przyszłość narody szukają nerwowo sposobów rozwiązywania powojennego kryzysu. Jedni spoglądają ku Moskwie, inni ufają Mussoliniemu. Wielu jest wyznawców hegemonji Berlina, Paryża czy Londynu.

Gdzie zjawi się likwidacja dzisiejszego chaosu? Kto wskaże ludzkości kształty przyszłego ustroju, kto wskaże zbawienny plan do przebudowy społeczeństw?

Bez wiary w coś lub w kogoś niema mowy o uporządkowaniu powojennego chaosu. Gdzie ratunek?

Dziś już wszystkim wiadomo, że żadne państwo nie stworzyło, mimo tylu kombinacyj politycznych i gospodarczych, żadnego porządku nowego, któryby uczynił zadość tak przykazaniom Bożym, jak i potrzebom ludzkości.

Co będzie dalej? Do czego doprowadzą ludzkość jej przywódcy?

Wprawdzie są jeszcze po różnych państwach krzykaczki, zapowiadający światu zbawienie „w imię swoje“. Ale życie ciągle wykazuje, że ich recepty: to baloniki umalowane jaskrawo i trzymane na sznureczku przez stare dzieci. Ale baloniki pękają muszają i spaść odrobina śmiecia na gladiatorską arenę współczesności, pod stopy żywych i cierpiących i ciągle napróżno wyczekujących ludzi.

Kto dziś wrzruszy kostniejący w nędzy świat? Czy jest jakie państwo, które może okazać się dziś zbawieniem ludzkości i ochronić ją przed katastrofą? Czy jest jaka siła państwowa, która mogłaby przekształcić i uruchomić w ospałych, anemicznych tłumach i zmęczone myśli i zgnębione serca?

Wszak sami politycy, sami przywódcy państw przynajmniej — w chwilach szczeroci — do bankructwa!

Niedawno przewodniczący Ligi Narodów, minister Benesz, wołał:

„Świat przechodzi kryzys tak głęboki, iż można go porównać do największych przełomów historycznych: kryzys ideowy i moralny, kryzys gospodarczy — groźbę wojny i rewolucji — słowem ogólny chaos“. (Por. Mowa Benesza na posiedzeniu Ligi Narodów 10 września 1934).

Czy więc politycy uratują zachwianą cywilizację? Czy dyplomaci dzisiejsi, którzy wzajemnie wyprowa-

dają się w pole i szerzą powszechną nieufność — czy oni, którzy reprezentują dzisiejsze państwa — mogą być wychowawcami i doradcami strapionej ludzkości?

Widzimy, jak rozstrój dzisiejszy pogłębia się, mimo wzrastającej powodzi projektów, konstytucji, pomysłów ratunku — wreszcie dyktatur. Iluż to dyktatorów wystąpiło za dni naszych na widownię, aby runąć w nicłość po kilku tygodniach, miesiącach czy latach!

Czy tylko polityczne, administracyjne i ekonomiczne ustawy, czy użycie przemocy i silna władza — nie stają się w oczach naszych fantazjami i urojeniami — o ile równocześnie te reformy i rozkazy nie opierają się o podstawy sumienia i moralnego autorytetu?

I dlatego Ojciec Ludzkości, Pius XI, ostrzega. Widząc widmo nowej wojny, podnosi rękę, błogosławi światu, ale ostrzega, bo nikt tak jak On, nie troszczy się o dobro prawdziwe wszystkich ludzi. Bo nikt, tak jak On, niema prawa podkreślić wszystkim przywódcom i politykom świata, że ludzkość bez Chrystusa nie zdola się sama urządzić.

Pius XI, w swej encyklice o Chrystusie Królu, woła:

„Żagwie zawiści rozniecone wśród narodów... niepowściągliwa chciwość, która nierzadko okrywa się pod płaszczykiem dobra publicznego i miłości ojczyzny, z której powstaje rozdwojenie i ów ślepy, niepohamowany egoizm, który na nic innego nie zważa, jak tylko na prywatne korzyści... a dalszy owoc, to zburzony zupełnie pokój domowy, bo zapomniano o obowiązkach i zlekceważono je; łączność i trwałość rodzin zachwiana; wreszcie całe społeczeństwo wstrząśnięte i ku zgubie idące“.

To ostrzeżenie Namiestnika Chrystusowego przypomina światu, że te państwa, które odwracają się od katolicyzmu, nie znajdują na jego miejsce żadnego surrogatu, że tylko wiara religijna jest tą parą skrzydeł, które unoszą obywateli ponad płaskie instynkty zwalczających się egoizmów, że zawsze i wszędzie, skoro tylko te skrzydła słabną, natychmiast zaczynają się obniżyć obyczaj publiczne i prywatne.

Stąd płynie nasze przeświadczenie bezwzględne, że nowy porządek, jeżeli naprawdę ma być likwidacją ogólnego chaosu, musi wyłonić się z wielkiej idei Chrystusowej.

Jeżeli państwa nie podporządkują dóbr i celów doczesnych wartościom wiekiustym, nie wyjdą z chaosu.

Gdyby przepisy moralne, dotyczące życia społecznego, były obserwowane, światby się odrodził; po kilku pokoleniach powstałaby na ziemi rasa silniejsza, piękniejsza, szlachetniejsza, bardziej czysta i mężniejsza. Miłość i szczęście zamieszkałyby pod każdym dachem.

Katolicyzm jest ostatnią nadzieją państw, wierzących w możliwość osiągnięcia lepszych urządzeń doczesnych.

Bo tylko katolicyzm, zawarty w Kościele, może dać państwu nadprzyrodzoną moc, zdolną do przekształcenia serc obywateli, moc, która słabość, zdradę i nieufność zamienia na siłę i solidarność, moc, która wolę zagasta ustawicznie podnieca do życia.

Bo katolicyzm — to serce świata i jego ruch. I ludy pójdą ku sercu świata, jeśli chcą znaleźć życie.

A ktokolwiek przeciwko niemu walczyć będzie, stanie się pustym dzisiaj, a jutro w proch się rozpadnie.

TURZOWIE WĘGIERSKO-POLSCY

W dramacie — wierszem, albo prozą poetycka; w romansie, opowiedziane być mogą dzieje tej rodziny.

To wielka epopeja, dźwięcząca w piosnkach węgierskich i w opowieściach polsko-słowackich góralów, którzy nie wyrozumowaniem historjozoficznym, tylko wspomnieniami i odczuciem siły wydarzeń, ożywiają jeszcze pod dziś dzień, potężne imię Jerzego hrabiego Turzy, jego przodków i potomnych.

Możnowładca rodzina — Turzowie, osiedli w węzle etnograficznie - historycznych granic Polski, Słowaczynie i Węgier.

Ci arystokraci, mający się wywodzić z okolic Udine w Italji, sławni są jako patrjoci Węgrzy, byli pożytecznymi obywatelami Polski, gospodarnie rządzili wśród Czechów i na krańcach Śląska, lecz cieniem padały na nich złudne dostojęstwa i pozory klejnotów ze skarbnic Niemiec, gdzie rozpraszali się i gaśli wpośród obcego sobie ducha germańskiego, w blichtrze odznaczeń cesarsko - królewskich. Dla Turzów, madziarów, spokrewnionych ze Słowianami, ostatnim zaszczytem był udział w powstaniu przeciw-habsburskiem 1848 r.; nie mogli oni stać się łącznikiem ludów tuziemnych z najeźdźcą z poza Odry i Dunaju.

Jan Turzo, wojewódzki spiski, urodz. 1937 r., przeznaczony pierwotnie, przez rodziców, do stanu kapłańskiego, w innej dziedzinie zapisał swoje imię. On jest twórcą kopalni żelaza w Polsce, założycielem pierwszych kąpielisk leczniczych w Bystrzycy, Szczawnicy i Spiszu. On prasą i przebiegłością wydarł w necjanom tajemnicę wydobywania złota i srebra z rudy miedzianej; a dziesięć lat swego życia poświęcił, pracując jak zwykły robotnik w Szwecji, gdzie poznał tajniki przerobu żelaza.

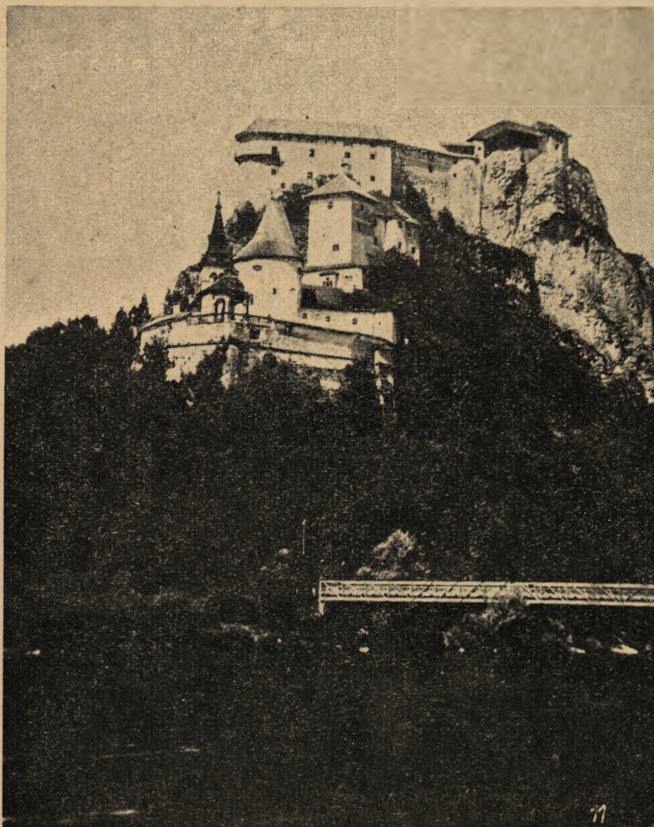
„Naksztalt Etny palające piece za miastem Krakowem, pełne miedzi, srebra i złota ogniem spojonych“, były świadectwem prac tego Węgra, który w 1464 r. osiadł w Małopolsce Zachodniej. Przyłożenie się do budowy i ozdoby kościoła Marjackiego w Krakowie i pary urzędowych występów Turzy w tym grodzie, stanowiły tylko pewien epizod w jego działalności, niesłusznie zupełnie przedstawiany przez jednego z polskich monografistów tego rodzaju (L. Lepszego) za dowód przynależności Turzów do patrycjatu m. Krakowa; bo wszystko to, podobnie jak i kaplica Turzów (św. Wawrzyńca) w kościele Panny Marji oraz godności naukowe na uniwersytecie podwawelskim, były tylko szlachectwem, a nie mieszczańskim zaszczytem i dorob-

kiem panów wojewodów orawskich, kulturalnie i przez pokrewieństwo — rodzinnie jednoczonych ze społeczeństwem polskim.

Jan Turzo, w 1505 r., otrzymał godność barona de Bethlenfalva (takie miano nosiło gniazdo jego rodziny na Spiszu), był też z urzędu, hrabią na Kremnicy, gdzie jako wielkorządca górnictwa węgierskiego, wybijał dukaty, ze swojemi inicjałami. Ogromne sumy pożyczal królowi Aleksandrowi Jagiellończykowi, arcybiskupowi Łaskiemu i różnym magnatom polskim; czynił zapisy dobroczynne na „wszystkich swoich ruchomych i nieruchomych dobrach, które w całej Polsce posiadał“. Miał on również huty w Niemczech w Erfurcie, oraz we Friuliu; jako mecenas sztuk i nauk założył księgarnię w Krakowie, kierowaną przez słynnego drukarza Świętopelka Fiola. Zmarł w 1508 r., w dobrach swoich na Węgrzech, pochowany w grobie przodków w Lewoczy, a nadgrobną tablicą wymienia 5-ciu jego synów: Stanisława biskupa ołomunieckiego, Jana — biskupa wrocławskiego, Jerzego, wielkorządcę, hrabiego kameralnego górnictwa węgierskiego, Aleksego — namiestnika królestwa węgierskiego i Jana (młodszego), wojewodę.

Wspomniany Jerzy, syn Jana, nieraz przez autorów (Z. Kossak-Szczucką etc.) utożsamiany mylnie ze swoim imiennikiem synem Franciszka, wojewodą praskim, był drugim i już ostatnim z mocarzów-przemysłowców w swym rodzie i to raczej nominalnie, dzięki swemu małżeństwu z Anną, córką słynnego Ulryka Fuggera, bogacza-wierzyciela cesarza Karola V.

W Krakowie, ujrzał światło dzienne Jan Turzo, brat Jerzego; tamże zdobył on tytuł magistra filozofji, doktoryzował się we Włoszech, a potem, w 1498 r., mianowany rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Król Jan Olbracht często go wysyłał w poselstwach za granicę. W 1506 r., był rektor krakowski, dzięki wpływom swego krewniaka Zygmunta Turzy, biskupa warażdyńskiego, objął stolicę biskupią we Wrocławiu, gdzie wstąpił się jako mecenas i uczonej; wznosił przepyszną rezydencję biskupią, wydawał księgi, skupował obrazy Dürera, protegował humanistów, hojnie obdarzał najznakomitszego z ówczesnych uczonych Erazma z Rotterdamu, i miał przywilej na wybijanie monet ze swoją podobizną i herbem. Szanowali go nawet nieprzyjaciele. Biskup Jan Turzo wspólnie ze swym najmłodszym bratem Stanisławem, również wychowankiem Akademii krakowskiej, biskupem ołomunieckim,



Zamek orawski hr. Turzów.

koronował Ludwika Jagiellończyka na króla Czech i Węgier.

Wysoko kwitły herbowe róże czerwone Turzów, na tle złotem, ponad któremi wspina się lew w koronie

Ta rodzina, której miano przypomina sławne staropolskie nazwisko Tarłów, wiązała swem imieniem trzy kraje, ograniczając swą działalność dopiero, gdy słowiańskie i węgierskie ziemie jęli zagarniać obcy, chciwi Habsburgowie; coprawda Aleksy, brat Jerzego Turzy, był pierwszym ministrem i namiestnikiem Ferdynanda I, lecz to tylko szczeble kolejne jego dostojęństw, piastowanych już za Jagiellońskich monarchów rusko-węgierskich, których był skarbnikiem, najwyższym sędzią nadwornym, ponadto hrabią kameralnym kremnickim i dziedzicem hrabią na Solu. Franciszek Turzo, biskup nistrański, w 1550 roku.

Niemczone później, w innych rękach, włości miał w swem posiadaniu piąty syn Jana Turzy z Bethlenfalvu Jan (młodszy), magnat śląski, hrabia na Spiszu, baron na śląskiej Wolawie i Stynawie, właściciel księstwa Pszczyny. Znamienne to brzmi dzisiaj. Jan Turzo, szlachcic polski, hojnie obdarzający kościół Marjański w Krakowie, hrabia węgierski i książę na Pszczynie, którą władając, nie kłócił się ze skarbem polskim, lecz z kopalń swych dostarczał ogromne ilości metalu na oręż, śmigownice, moździerze do Krakowa, pożyczał wielkie sumy książętom Piastom śląskim, z całą swą rodziną był sławiony przez uczonych i poetów. Paweł z Krosna i Walenty Eck pisali wzniosłe panegiryki na cześć swych protektorów Batorych i Turzów.

Przy granicy morawskiej, pod Nowem Miastem, nad rzeką Waagiem, jest dziś Turzowka — gniazdo rodziny.

Przy Podhalu, między Babią Górą i Tatrami, wznosi się zamek Orawski, którego nazwa (Orawa, węg. — Arva) stała się częścią nazwiska hrabiów Turzo: de Arva-Turzo, gdy tam osiadłszy, mieli również śląską Pszczynę i Grawen, nad Dunajem, a wiedli krwawe spory z księciem Kazimierzem II, Piastem Cieszyńskim (Acta Tomiciana etc.) i przeciwstawiali się zaborczości austriackiej.

Zamek na Orawie, jest zdaniem uczonych, nawet niemieckich i węgierskich, pradawnym grodziskiem słowiańskim. Zbudowany na górze wysokiej na 200 m., z trzech stron całkowicie niedostępnej; składa się z zamku dolnego, średniego i górnego; okrągła wieża, na półn.-zach. rogu zamku górnego, pochodzi z XIII w.;

władcami zamku byli przedstawiciele rodzin panujących (syn i wnuk króla Macieja Korwina, a także dynastowie z domu Zapolyich) oraz magnatów, często pochodzenia szczerze polskiego: z Tęczyna Topór-Ballicy, Piotr hr. Komorowski i Kostkowie. Nieraz, gościli na Orawie, jeżdżąc przez granice polsko-węgierskie, król Ludwik Węgierski i król Kazimierz Łokietkowiec; tu również Piotr Komorowski podejmował królewicza Kazimierza Jagiellończyka (kanonizowanego później). Na Orawie, husyci więzili Piotra Odrowąza, wojewodę ruskiego.

W XVI wieku osiedli tam Turzowie. — A na początku był romans rycerski. — W krwawych sporach wojewodźców Kostków z grafami Siedlnickimi, wziął udział Franciszek Turzo, który zaślubił Barbarę Kostczankę, w 1556 r., i spłacił złotem pretensje Siedlnickich. Franciszek hr. Turzo zbudował zamek dolny, przebudował średni i górny, kazał wykopać w podwórzu studnię głęboką na 288 stóp, ozdobił i uposażył kaplicę; kazał pięknie polichromować nawet zewnętrzne ściany budowli. Drugą żoną Franciszka była Katarzyna hr. Zrińska, córka Mikołaja, bana Chorwacji, bohaterą spod Szigetu, pogromcy Turków. Jerzy, syn Franciszka i Katarzyny, sterał zdrowie na wojnach z muzułmanami, „sławny wojewoda“, „gwiazd sięgający“: — Juraj hrabia Turzo z Bethlenfalvu.

Obok sali jadalnej w dolnym zamku, w malej komnacie wiszą olejne obrazy, bardzo oryginalne, przedstawiające Jerzego Turzę na marach, a żonę jego na śmiertelnym łożu; na temże piętrze, w grubej baszcie mieści się zbrojownia; w kościele, zdobnym freskami ówczesnymi, grobowce Turzów, a ich dawne ubiory przechowane w zakrystji.

Emeryk, syn Jerzego, oddał się naukom, nie wojnie; był rektorem uniwersytetu w Wittenberdze, a zginął otruty w 1624 r.; w ćwierć wieku potem zmarł hr. Adam, którego syn Michał był ostatnim ze starszej linii Turzów. Młodsza linja dziś gaśnie w ostatnim potomku, nie zostawiającym męskiego potomstwa; przedostatni, Koloman hr. Turzo, oficer honwedów, zginął w 1915 r. — Orawą władali potomkowie córek starszej linii Turzów, hrabiowie Tököly, którzy w 1670 i 1678 r. odparli napady austriackich generałów, Heistera i Leslie. W 1709 r., po wielomiesięcznym oblężeniu zajęli Orawę Austriacy, ale majorat orawski do ostatka był w posiadaniu Zichych, krewnych hr. Turzo.

Miłosz Gembarzewski.

T R Y P T Y K

I. WIARA.

*Gdyby to wieki dawne
Szedłbym walczyć z Saraceny,
By po gościach świata nieść Twe imię sławne,
Bo nie znajduję, Panie, tak wysokiej ceny
Słów ludzkich, by wyrazić wiarę w Ciebie.
Taki mi jesteś bliski, gdy wyciągasz ramiona
Na czarnym drzewie krzyża poświęcając siebie,
Ze wierzyć musi w Ciebie ma dusza zdumiona!*

II. NADZIEJA.

*Tyś, Panie, sam jest nadzieją...
W godzinie zwątpienia w Tobie mam oparcie,
Gdy serce wyczerpane a ręce już mdleją
Od Ciebie się nadziei domagam uparcie,
Bo bez niej byłbym, Panie, jak bez steru łódź
Po falach płynąc zdarzeń, co różny nurt biorą.
Ty zbuntowane myśli swoją laską chlódź,
A spraw, by ranek jutra nadziei był porą.*

III. MIŁOŚĆ.

*Kazałeś kochać bliźniego, jak siebie samego,
Dla lotrów na krzyżu mając przebaczenie.
Zły tylko nie wypełni przykazania Twego
I nie zrozumie jakie miłość ma znaczenie,
Bo ileż to udreki unąknęłyby można,
Gdyby wszyscy dla bliźnich w sercu miłość mieli,
Wówczas rajby stworzyła Twa idea zbożna,
Podstawę, Twej nauki ludzicy pojęli.*

Jerzy Helbich.

LITWA W ROZWOJU DZIEJOWYM

Litwini, zarówno jak ich sąsiedzi i pobratymcy, Łotysze, należą do szczepu indoeuropejskiego. Plemiona litewskie osiedliły się nad Brzegami Niemna i Dźwiny.

Skąd te plemiona przywędrowały?

Z wielu różnych domysłów, przypuszczeń i naukowych dociekań, wypadnie w rezultacie przyjąć założenie o przybyciu Litwinów ze wschodu.

W dzisiejszych Prusach Wschodnich, między Wisłą i Niemnem, osiedlili się Prusowie, plemię litewskie, stojące niewątpliwie na najwyższym poziomie cywilizacyjnym i kulturalnym.

Na wschód od nich zamieszkiwali Litwini i Żmudzini, najbardziej sobie pokrewne plemiona. Litwini zajęli t. zw. Litwę Górną (Auksztota), leżącą w dorzeczu Wilji i pozostałych dopływów środkowego Niemna. Żmudzini zaś osiedlili się w dorzeczu Jury, Dubissy i Niewiaży, tworząc t. zw. Litwę Dolną (Żemajtis).

Sami Litwini nazywali siebie *Lietuvis*, albo *Lietuvinkas*, a kraj swój — *Lietuva*.

W epoce plemiennej w posiadaniu mieszkańców znajdowały się tylko grunty uprawne, zagospodarowane. Lasy i pastwiska należały do gruntów niezawłaszczonych (*res nullius*). Korzystanie z nich było dostępne dla każdego. Prawo własności dla terenów łowieckich i wód rybnych powstało dopiero za czasów Witolda. Do skrytalizowania się prawa własności i do uregulowania granic pól w dużym stopniu



Okolice Kowna



Litwinka przy pracy

przyczyniła się kolonizacja polska, która przyniosła z sobą bardziej nowoczesne poczucie prawne.

Podstawowe zajęcie Litwinów od najdawniejszych czasów to rolnictwo. Nadto uprawiali oni łowiectwo, rybołówstwo i bartnictwo. Stosunki handlowe z krzyżakami wpłynęły na zorganizowanie łowiectwa jako gałęzi przemysłu.

Z braku kruszcu, skóry zwierząt przez wiele lat odgrywały rolę środka zamiennego. Najbardziej poszukiwane były futra łosiów, bobrów, kun i wiewiórek. Wzamian za futra otrzymywali Litwini narzędzia rolnicze, sól i inne produkty niezbędne w gospodarstwie domowym.

Bartnictwo dawało Litwinom miód i воск, które również wymieniali za produkty zagraniczne. Handel wymienny był wówczas jedyną formą obrotu między plemionami.

W związku z rodzajem produkcji głównej, a więc rolnictwa, pozostawał system podatkowy. Najważniejszą formę daniny, obciążającą ludność na terenie W. Ks. Litewskiego stanowiło *dziakło*, pobierane zrazu w zbożu, później także w sianie i w drwach. Danina ta istniała na Litwie już w połowie XIV w. Nieco później powstała inna forma podatku, mianowicie t. zw. *mieszlewa*, uiszczana w zwierzętach domowych, w kurach, jajach.

Bojarzy i kniaziowie obowiązani byli do składania na dwór wielko-



Szkola Sztuk Pięknych w Kownie

książęcy specjalnej daniny, zwanej *polietnie*. Podatek, zwany *stacja* albo *stan*, polegał na dostarczaniu księciu i jego urzędnikom w razie przyjazdu całego utrzymania. W takich razach ludność obowiązana była również dawać na wezwanie podwoły.

Później, z opanowaniem terytoriów ruskich, powstawały inne daniny. I tak, te ziemie ruskie, które obowiązane były płacić haracz Tatarom, składały na ręce księcia daninę, zwaną *tatarszczyzną*. *Ordyńszczyzna* obciążała te wsie i miasta podnieprskie, gdy W. Książę składał podarki tatarskim chanom. W Smoleńszczyźnie i w Pińszczyźnie ludność płaciła podatek od sochy (*pososzczyzna*), księstwa siewierskie uiszczwały podatek pogłówny, pobierany jednak od dymów, nie od głów (*pogłowszczyzna*).

* * *

U Litwinów, jak u wszystkich szczepów aryjskich, panował w rodzinie ustrój patryarchalny. Ojciec był samowładnym panem i władcą żony oraz dzieci. Mógł je sprzedać lub zabić — wedle własnej woli.

Jednostką gospodarczą był dwór czyli dym. Należał do niego obszar

rolny niewielki, taki tylko, jaki można było uprawić samemu sochą, zaprzężoną w dwa woły lub w jednego konia.

Chata litewska, „*numas*“, była sklecona prostacko. Przypominała swym wyglądem żałosnym i zaniedbanym raczej „*psią budę*“, jak wyraził się pewien francuski podróżnik.

Do uprawy służył pług drewniany. Brak młynów zastępowano żarnami.

Obok rolnictwa uprawiano pszczelnictwo i ogrodnictwo (uprawa rzepy, lnu, konopi). Wyrabiano również wyborne miody i piwa. W obrocie wymiennym z sąsiadami wywożono z Litwy wosk, futra, miód, bursztyn, drzewo, popiół, skóry, konopie, przedzę. Sprowadzano zaś oręż, żelazo, sól.

Jak inne plemiona, na niskim stojące rozwoju, uznawali Litwini niewolę. Niewolników nazywano tutaj *ludźmi niepochożymi*. Niewolnicy składali się przeważnie z jeńców. Można było jednak zostać niewolnikiem za popełnione przestępstwo lub za niewywiązanie się z przyjętych zobowiązań.

Z biegiem czasu ludność Litwy coraz bardziej różniczuje się. Jed-

ni wytwarzają warstwą bojarów, inni spadają niżej aż do granic włościaństwa. Z tych ostatnich tworzy się ludność wolna wprawdzie, lecz bezrolna. Osiada ona na dworach możnych panów, gdzie pełni najrozmaitsze posługi. Ludzi tego pokroju nazywano *pochożymi*. Zachowali oni pełną osobowość prawną i wolność przenoszenia się z miejsca na miejsce. Nie byli związani więzią łaską lub nielaską bojara.

Własność była bądź indywidualna, bądź też wspólna. Znana była powszechnie i popularna własność między braćmi. Bracia tacy stanowili osobną instytucję t. zw. „*braci niedzielnych*“. Formy takiej wspólnoty przetrwały na Litwie aż do połowy szesnastego wieku. Bracia mogli byli jednak wystąpić każdej chwili z takiej wspólnoty majątkowej, dokonywując jej podziału.

W rodzie najwyższą władzę sprawowała bądź jedna osoba, piastująca ją na zasadzie wyboru, starszeństwa lub dziedziczości, bądź też władza taka należała do grupy rodowców, t. j. do wszystkich męskich członków rodu.

Naczelnicy rodów nosili tytuły: seniors, kunige lub nobiles. Ród dbał o obronę siedziby przed najeźdźcą, wznosił fortyfikację, wybierał ciwuna, który był zarządcą dworu. Ciwun pełnił obowiązki urzędnika gospodarczego, odbierał od ludności daniny, kontrolował spełnione posługi oraz sądził ludność, osiadłą na ziemiach gospodarskich, zarówno wolną, jak i niewolniczą. Bojarzy, czyli szlachta, nie podlegali jego władzy. Sąd nad nimi sprawował namiestnik księcia.

Dla obrony przed nieprzyjacielem tworzyły się drużyny. Drużyny wyrastały na podłożu związków rodowych. Powstawały one, jako grupy żołnierzy, zorganizowane przy boku wodza na zasadzie osobistej od niego zależności. W skład drużyn wchodził ochotnicy, wyłącznie jednak pochodzenia wolnego.

E. M. Schummer.



Teatr państwowy w Kownie.

BOŻENKA

*Nasza kochana Bożenka mała
Żółtego ptaszka w klateczce miała,
Witkiem kanarka swego nazwała
O jasnych włosach Bożenka mała.*

*Codzień mu sama sprzątała klatkę,
Dawała codzień świeżą salatkę,
Sypała zawsze dużo siemienia —
Jej dobroć Witusz szczerze ocenia.*

*Bożenka miała serduszko złote,
Codzień w miseczkach zmieniała wodę,
Więc się trzepotał Witusz radośnie
I piosnki śpiewał swoje rozgłośnie.*

*Wśród kwiatów klatka Witusia stała,
Z białych przecików klateczka mała
A w niej się Witusz cieszył bez końca,
Do swej Bożenki, kwiatów i słońca.*

*Bożenka między pręty klateczki
Wkładała cukru też kawaleczki,
Bo przecież każdy wie to najlepiej,
Że cukier wszystkich naprawdę krzepi.*

*Śpiewał więc Witusz codzień od rana
Jak dzwonek dźwięczy, piosnka kocha-
[na;
Wdzięczność i miłość w swej piosnce,
[w dziecię.
Wyrażał Witusz dobrej panięce.*

Paulina Budzyńska.

KTO PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ?

Biorę do ręki gazetę jedną, drugą... trzecią... czwartą — Każda z nich, zależnie od swego kierunku ideowego, inaczej komentuje wydarzenia, fakty i teorie polityczne lub gospodarcze, — lecz niestety wszystkie jednakowo, z nieubłaganą prawdą włączają do świadomości swego czytelnika ohydny, plugawy obraz współczesnego życia rodzinno-społecznego. Niema ani jednego dnia bez kilku zbrodni, o których sensacyjnie piszą w dziennikach.

A o ileż więcej jeszcze jest takich, o których z pewnych względów się milczy, albo takich, o których prosto się nie wie? — Samobójstwa, zabójstwa, defraudacje pieniężne lub inne nadużycia — oto kanwa, na której snuje się współczesne życie — oto w 75% treść naszych pism codziennych — zwierciadło życia.

A teraz zbadajmy przyczyny onych dramatów. — Często, jednostka słaba duchowo, lub zmęczona życiem w nieustannej walce z przeciwnościami, w walce o kawałek chleba, popełnia samobójstwo, a niejednokrotnie i zabójstwo żony, matki, dzieci. W śmierci szuka ucieczki przed widmem głodu.

Wówczas oficjalnie komunikuje się w dziennikach, że X, lub Y popełnił samobójstwo spowodu braku środków do życia.

Wydrukowana, stereotypowa wzmianka idzie w świat, wzbudzając tylko bliższe zainteresowanie mieszkańców domu lub ulicy, na której rozegrała się tragedia.

Reszta czytelników obojętnie od kroniki wypadków przechodzi do repertuaru kin i teatrów, aż wreszcie zatrzyma wzrok na drukowanym wielkimi czcionkami tytule: — „Krwawy dramat na Pradze! — Zdradzony mąż zabija swą niewierną żonę i jej kochankę”!

Po frapującym, sensacyjnym tytule, z wzrastającym zainteresowaniem czyta się szczerze wypełnione trzy lub cztery szpalty dziennika, najprawdziwszych, często pikantnych szczegółów i przyczyn morderstwa.

Natychmiast, bezpośrednio po przeczytaniu, rozpoczyna się żywa dyskusja na ten temat w tramwaju, w cukierni, w domu.

Przy tej okazji wygłaszamy niezliczoną ilość komunikatów na temat współczesnego małżeństwa. Kto winien? — Kobieta, czy mężczyzna?

Zależnie od osobistych przekonań rzucamy gromy potępienia na jedną lub na drugą stronę, często nie uzasadniając takiego właśnie, a nie innego sądu.

Ale muszę przyznać, że o sprawiedliwy wyrok w tej naprawdę ważnej sprawie jest bardzo trudno.

Każdy przyzna, że prawie wszyscy mężczyźni niewiele są warci, ale... i kobiety, niestety nie są lepsze.

W tej więc sprawie subiektywizm opinii i sądu musi zyskać sobie prawo istnienia.

Niejednokrotnie zastanawiam się nad tą sprawą.

Ważę na szali rozsądku i przybliżonej prawdy argumenty, przemawiające za i przeciw kobiecie.

Niestety, choć sama do nich należę, muszę przyznać, że dużą dozę winy za rozbitcie rodziny i wynikające stąd tragedie ponosi kobieta.

* * *

A teraz zbliżmy się do życia.

Przejdźmy przez kilka biur, kancelaryj adwokackich, ambasad. Pochylone nad biurkiem lub maszyną dzie-

siatki młodych postaci o sztucznie, lub naturalnie ładnych buziach. Gdzieniedzie tylko w kącie ujrzymy jakąś starszą kobietę, lub nawet młodą, bladą, w okularach na śpiczastym, cienkim nosie i w przydeptanych pantoflach na krzywych nogach. — Te dwie ostatnie to ofiary losu, woły robocze, od rana do nocy pozostające w jarmzie pracy.

Pozostałe to te, którym w udziale przypadło rzekome szczęście — cieszą się t. zw. „sympatją” dyrektorów, czy innych zwierzchników. — W dzień panowie owi, na posterunkach swej pracy, w luksusowych gabinetach są poważni, stateczni, rozumni.

Genjalnie kierują pewną dziedziną handlu, prawa czy polityki. Z ich zdaniem i opinią wszyscy się liczą. Są czcigodnymi głowami rodzin.

Lecz to wszystko są tylko pozory i pozy.

Właściwego człowieka poznaje się w innej atmosferze.

W salach dancinowych, czy też zwyczajnie w „niekrępujących pokojach”.

Tu następuje metamorfoza. Z wyniosłego czoła wszechwładnego pana dyrektora znika szlachetna troska o dobro instytucji, którą kieruje, gdy błaga o jedno spojrzenie lub jeden pocałunek... swą podwładną pracowniczkę. Fakty boleśnie prawdziwe. Fałsz, obłudza, demoralizacja! — I kto temu winien? Pan dyrektor, czy urzędniczka? — Ktoś może tu wysunąć argument, że biedna ofiara wyzysku silniejszego, jest mu uległa... bo obawia się utraty pracy. — Nieprawda! — To ohydne kłamstwo!

Gdyby jedna, druga, dziesiąta, setna nie przyjęła propozycji spędzenia wspólnie wieczoru (bo od tego się zaczyna), to napewno skonfundowany poszukiwacz łatwych przygód, wróciłby do własnej żony, do domu.

Ale kobieta jest zbyt próżna, aby nie ulec pokusie. Niezmiernie jej imponuje, że potrafiła zwrócić na siebie szczególną uwagę samego dyrektora.

O naiwna, czyż sądzisz, że on ocenia ciebie dla wartości twej duszy, charakteru? Nie.

Przeważnie jest to człowiek, dla którego pełnia życia się kończy (wbrew nowej teorii, że życie zaczyna się po 40), a który nie chce jeszcze rezygnować z niektórych jego powabów, więc pożąda ciebie, a właściwie tylko twą młodość!

Przez miesiąc, rok, dwa jesteś jego zabawką, potem znudzony już tobą, zwraca swe uczucia do twej młodszej koleżanki. Teraz tylko ona jedna dla niego istnieje. A ty? Przeżywasz mękę upokorzenia, poniżenia, zazdrości. Cierpisz okrutnie.

Ale to dobrze. Niema zbrodni bez kary — więc cierp.

Bo czy wówczas, oddając się dla pieniędzy starszemu, żonatemu człowiekowi zastanowiłaś się, że popełniasz zbrodnię wobec innej kobiety, jego żony? że jej wydierasz męża, a dzieciom ojca? Opanowana egoizmem, depcesz najświętsze prawa rodziny, nie zastanawiając się nad tem, że i ty możesz mieć męża, dom i rodzinę, którą nikczemnie zburzy jakaś inna kobieta. Gdybyś miała choć trochę uczucia najpospolitszej solidarności kobiecej, nie powinnaś tego czynić!

Nigdy nie wiadomo, kiedy i jakie zło na nas spadnie za popełnione winy.

* * *

A oto inna kobieta.

Już wyszła zamąż, ma własny dom, dziecko.

Przypatrzmy się jej — jak spełnia swe obowiązki, te codzienne, napozór błahę, a jednak tak bardzo ważne w całokształcie życia małżeńskiego.

Występuje niby w roli pani domu. Tak ex nomine nosi ten tytuł, w istocie zaś panią domu jest jakaś Kasia lub Marysia. Ona nim rządzi według swego własnego uznania, dziecko wychowuje według najnowszych metod pedagogicznych, zdobytych na ulicy lub podwórku, a dla siebie „ciuta” pokażne sumki „koszyczkowe”. W rezultacie, wobec takiej gospodarki, pomimo wydanych kilkuset złotych, przy końcu miesiąca brakuje już na życie. Wówczas „wierna i uczciwa” Kasia z dobrego serca na te kilka dni pożycza „swemu państwu” oszczędności, zebrane na rzekomo dobrze płatnym poprzednim miejscu.

Życie płynie nadal normalnym trybem.

Gdy pan po pracy wraca do domu, obiadu zwykle jeszcze niema. Po godzinie oczekiwania okazuje się, że zupa jeszcze niedogotowana, mięso przypalone, deser posolony, a na dodatek, ukochany Jędrus czy Wojtuś popisuje się przed zirytowanym tatusiem zapasem świeżo nagromadzonych „słówek ulicy”. W nagrodę za to synek dostaje kilka klapsów, Rex kopnięcie nogą (bo właśnie znalazł się w pobliżu), służąca awanturę za zmarnowany obiad.

Na gniew tatusia synek reaguje głośnym płaczem, pies wyciem i szczekaniem, a Kasia, przekrzykując obu razem wrzeszczy: „Patrzcie go tu, wielki pan, na kredyt, za głupie 20 zł na miesiąc chce, żeby mu kartoflanka pachniała marcepanami! A kucharza se wziąć, to w same norme bendzie gotować, kiedy już moje żarcie nie dogadza”!

Powstaje piekło.

Teraz dopiero pani, składając książkę w najbardziej interesującym miejscu, podnosi się z tapczanu i prosi błagalnie:

— Ach uspokójcie się. Przecież wiecie, że moje chore nerwy nie znoszą takich awantur.

Istotnie teraz nastaje spokój.

Zmaltretowany mąż z niemym wyrzutem spogląda na żonę i mimowoli wrywa mu się westchnienie: „Czyż to jest ta sama Zosia, którą przed kilku laty tak uwielbiałem za jej pogodne usposobienie i energję? — Teraz apatyczna, znudzona, obojętna, treść życia wypełnia czytaniem romansów i najgorszego gatunku powieści-deł. — Tak dziś zostało tylko wspomnienie, gorzkie rozczarowanie, zawiedzione nadzieje. — Ach, żeby uciec jaknajdalej z tego domu, który teraz stał się dlań piekłem na ziemi”.

Z pasją wciska na głowę kapelusz i wybiega na ulicę. Może ona go uspokoi — pozwoi zapomnieć na chwilę o żonie.

A żona? Teraz z westchnieniem ulgi wraca do czytania przerwanego romansu, synek z uporem manjaka sam sobie powtarza ulubione epitety pana dozorczy, a Kasia w kuchni z myślą o swej przyszłości... żywi obiadem jakieś podejrzané indywiduum.

* * *

Dla człowieka nauki żona jest przeważnie przykrem uosobieniem błędu, roztargnienia, którego żałuje się przez całe życie.

Błąd ten polega przedewszystkiem na niedoborze poziomów umysłowych (mężczyźni panicznie boją się ko-

biety wykształconej) i stąd powstają ciągłe nieporozumienia.

Gdy żona ma właśnie ochotę pójść do kina, teatru czy z wizytą — mąż nie może, bo ma bardzo ważną i pilną pracę.

Teraz dopiero zaczyna się cała litanja utyskiwań i złorzeczeń. — Ależ, duszko moja — uspokój się — prosi małżonek, chętnie pójde, ale jutro.

— A ja chcę właśnie teraz, teraz — woła uparcie.

Desperackim ruchem pan małżonek zamyka książkę.

— No dobrze, moje serce, pójdziemy, tylko daj mi słowo, że po powrocie nie będziesz robiła mi awantur, a ja dokończę pracę — kończy nieśmiało.

Oto tragedia człowieka, który musi pracować w domu.

Ktoś kiedyś powiedział, że „kobieta — to luksus”.

Jest w tem dużo prawdy.

Materjalizm, tak bardzo charakterystyczny dla wszystkich ludzi, w ogromnem natężeniu występuje u kobiet. Niema w tem nic dziwnego. Słaba istota-kobieta w małżeństwie musi sobie szukać zabezpieczenia bytu materjalnego. Przykre konsekwencje wynikają dla mężczyzny, gdy kobieta dostatecznie dobrze uświadomi sobie swe istotne lub domniemane walory zewnętrzne. Wówczas zaczyna zatracać poczucie i świadomość możliwości materjalnych swego męża.

Z dnia na dzień wzrastają jej wymagania. Dziś chce nowe futro, jutro kolję brylantową, pojutrze wspaniałe auto, potem wyjazd zagranicę, luksusową willę i t. d.

Znekany małżonek początkowo zaspakaja wymagania swej pięknej pani. Potem jednak zaczyna odczuwać brak pieniędzy.

Ale nie śmie zwierzyć się z tem żonie, ponieważ wie zgóry, że w odpowiedzi usłyszy dobrze znane zdanie: „Wiedziałeś jakie mam wymagania, trzeba było się ze mną nie żenić! Nie dość, że zrobiłam takie poświęcenie, wychodząc za ciebie zamąż, ty jeszcze śmiesz pogrążyć mnie w nędzy, wstrętny skąpcze”.

Jeszcze chwila wahania i tragiczna decyzja zapada.

Aby zapewnić szczęście kobiecie i sobie spokój, mężczyzna zaczyna popełniać różne nadużycia służbowe.

Pieniądze są i spokój — ale na bardzo krótko.

Wcześniej czy później dowiadujemy się, że pan W. czy Z został aresztowany za znaczne nadużycia — przyczyną była luksusowa żona.

Smutny koniec. Ale czy piękna pani ma z tego powodu jakiegokolwiek wyrzuty sumienia? Nie.

Nad „nieprzyjemną” sprawą przechodzi do porządku dziennego i... idzie szukać zapomnienia i ukojenia u innego bogatego przyjaciela.

Panna Wandzia, czy Hala zaledwie zdążyła przestuchać trzy semestry humanistyki... gdy poznała młodego chłopca, urzędnika banku i... zakwitła wielką miłością — Hala wyszła zamąż.

Kilka miesięcy trwa niczem nieznaną szczęście. Życie prowadzą bardzo skromne, bowiem on zarabia zaledwie 250 zł. Muszą więc odmawiać sobie wielu przyjemności, aby kupić do domu niezbędny talerz, garnek czy firankę. Mimo pewnych braków, są bardzo szczęśliwi.

Pewnego dnia Halę odwiedza jej szkolna koleżanka Ira, obecnie żona bogatego przemysłowca.

Krytycznie rozgląda się po mieszkaniu i po chwili dzieli się z Halą swem spostrzeżeniem.

— Kochana Halo, jak ty mogłaś wejść w taką nędzę — ty, taka inteligentna i wykształcona, poślubiłaś biednego urzędnika! Nie, to nie do wiary!

— Ale ja go bardzo kocham, z zażenowaniem wtrąca Hala.

— Nie wierzę w miłość bez grosza. Jeśli są pieniądze, jest i miłość, bez nich nawet największe uczucie szybko mija. Najlepsze swe lata marnujesz w nędzy, zamiast żyć i używać świata. Ubierz się tylko elegancko, a będziesz miała licznych przyjaciół u swych stóp.

— A mąż? — pyta Hala.

— Parafjaństwo przez ciebie przemawia. Mąż mężem, a przyjaciel przyjacielem.

* * *

Mijają tygodnie, miesiące. Hala staje się z każdym dniem coraz bardziej wymagająca. Robi mężowi nieustanne awantury o pieniądze na futro, na suknię, teatr.

Coraz częściej wychodzi wieczorem z domu i wraca dopiero późno w nocy.

Tak miłe do niedawna ich mieszkanko staje się terenem kłótni i awantur.

Wreszcie pewnego dnia, podczas nieobecności męża, Hala porzuca swój dom. Zdeptała szczerze uczucia kochającego ją człowieka i poszła... używać świata.

Komedja skończona — tragedia rozpoczęta.

* * *

Żaden mężczyzna mi nie zaprzeczy, że lubi kobietę ładnie i elegancko ubraną.

Nie znając jej jeszcze, zwraca uwagę przedewszystkiem na jej wygląd zewnętrzny, na jej ubranie, a potem dopiero usiłuje przeniknąć tajniki jej duszy i serca.

Przypuśćmy, że już ją „przeniknął” i decyduje się na pozorne ograniczenie swej kawalerskiej wolności przez nowoprzybrane miano „męża”, to jeszcze bardzo ważnym dlań argumentem przy ostatecznej decyzji jest posiadanie dobrze prezentującej się żony.

Pierwszy, drugi miesiąc młoda pani jest bardzo staranna w doborze strojów. Później zaczyna się nieco zaniedbywać. Coraz częściej mąż widzi ją poprostu rozczochraną, niedbale ubraną, aż wreszcie przychodzi

taki czas, kiedy pani domu w dziurawych, marszczących się pończochach, przydeptanych pantoflach i w brudnym szlafroku wygląda stokroć gorzej od swej pomocnicy domowej.

Nic też dziwnego, że nowy administrator tego domu, wchodząc do mieszkania, służącą pocałował w rękę, a pani domu zwrócił uwagę, że nie utrzymuje należytego porządku na klatce schodowej.

A co na to pan małżonek? Coraz częściej ma konferencje, obowiązkowe posiedzenia w klubie i mizernieje z dnia na dzień; traci bowiem apetyt, gdy spojrzy na swą tak „wytworną” żonę.

* * *

Te lapidarnie ujęte spostrzeżenia nie są wytworem fantazji, — stworzyło je samo życie.

W życiu codziennem, towarzyskiem, czy społecznem spotykamy bardzo wiele typów podobnych kobiet.

Są one perfidne, obłudne, przewrotne — istoty bez szlachetniejszych uczuć, bez duszy, bez serca.

Ale czy mężczyźni są lepsi? — Ośmielam się twierdzić, że nie. Prawie wszystko to, co ujemnego napisałam o kobiecie, można powiedzieć i o mężczyźnie.

To pozorne przedstawienie kobiety w ujemnem świetle jest również wyrazem perfidji kobiecej.

Już widzę i słyszę (w wyobraźni), że mężczyźni, którzy to czytają, za potępienie kobiety gotowi nawet bez „Szalejącej grypy” przyznać mi conajmniej nagrodę literacką.

Ale tych kilka ostatnich zdań pozbawi ich najbliższych iluzji co do osobistej wartości męskiej, a mnie... zaszczytnej nagrody.

Ale to trudno. Nawet za cenę nagrody nie zmienię również ujemnego zdania o mężczyźnie.

I znów powracam do pierwszego pytania: — kto ponosi odpowiedzialność za rozbitcie rodziny? Mężczyzna, czy kobieta?

Na dwoje babka wróżyła... godny jeden drugiej. — A tymczasem zło, które panuje w naszych rodzinach, będzie trwało dotąd, dopóki wyzwoleni ludzie postępu współczesnego nie pozbędą się swego cynizmu życiowego, dopóki poniewierana będzie godność osobista jednostki, dopóki deptane będą najświętsze prawa istnienia nierozzerwalnej rodziny polskiej.

Regina Hentszłowa.

KONFITURY

*Od gospodarstwa najmiłszy fartuszek,
ochotne ręce i uśmiech na twarzy.
Dziś melancholję jesienną zagłuszę,
z radością będę konfitury smażyć.*

*Soczystą czerwień, tchnące słońcem złoto
zanurzam w cukrze i do słoju chwytam.
Dzieci ucichły, zajęte robotą,
chciwie wchłaniają wonie smakowite.*

*Deszcz mży uparcie, wiatr drzewa kołysze
i nie przestaje do okna kołatać.
W naszego domu owinięta ciszę,
gromadzę skrzętnie słodkie dary lata.*

Allna Kwlecińska.

WIECZORNA WIZJA

*Leży pole zorane pod zmierzchowem niebem
W cichości leży sinej — pachnie nocą bliską
Daleko na horyzoncie skraj lasów się kolebie,
Dzień znika za lasami, rzucony słonecznym dyskiem.*

*W szafirowym półmroku linją falistą wzgórze
Schodzi smutek na ziemię po zmierzchowej spirali,
Z pachnących pól misterjum jesiennie się wynurza.
Słonecznym dyskiem rzucony dzień zniknął już hen! w dali.*

*Z całunów dnia zmarłego wypływa wizja święta:
Chrystusa twarz przesmutna cierniem wkrąg owita...
Wieczór jesienną tęsknotą w rozoraniu skib kłęka
Patrzy w nas gwiazd tysiącem, szepce coś, modli się — pyta...*

Wanda Lubicz.

GRAJEK MATKI BOSKIEJ

Czy ty wiesz, pastuszk, że to majf...
 A więc graj
 na fujareczce
 Przenajświętszej Panieneccze,
 ażebyś Ją uradował
 tą piosnecką, coś hodował
 w głębi serca prostaczego,
 co z natchnienia chłopięcego
 ma początek.
 Graj. Jagniętek
 strzec ci będą aniołowie,
 ażeby ich źli wilkowie
 nie porwali...
 Zali
 sądzisz, miłe dziecię,
 że piosenka twa nie wzleci
 hen za chmury, hen wysoko!..
 Tam gdzie oko
 nie przenika,
 gdzie szczyt góry nie dotyka
 sinych niebios...
 Lecz głos
 twojej fujareczki
 dojdzie do stóp Panienecczki;
 legnie cicho, jedwabście,
 a zaszumie jako liście;
 zadrga nutką
 Jej słodziutką
 taką polską,
 taką swojską,
 a pachnącą naszą wiosną...

Graj, pastuszk, pieśń radosną,
 bo to maj!
 Graj
 na wierzbnnej fujareczce — wykręconej,
 sporządzonej
 ręką twoją, miłe chłopię, jasnowłose,
 boso,
 w zgrzebnej koszulinie.
 Piosnka twoja nie zaginie,
 a popłynie
 hen za chmury,
 tam do góry,
 do Paniunki, do Królowej naszej ziemi!
 Więc przebieraj chłopięcemi
 paluszkami
 i uraduj piosenkami,
 bo to jest Jej miesiąc maj!
 Graj!
 Ptaszki będą ci wtórować,
 konik polny sekundować
 będzie tobie swem cykaniem...
 Ty, pastuszk, pięknem graniem
 uradujesz Tę w niebiosach,
 co we włosach
 ma księżycę,
 Tę, co lice
 ma jak słońce,
 oczy gwiazdą jaśniejące,
 uśmiech słodki, a pogodny
 i łagodny
 jako lazur...

Graj! Bó
 listowiem zawtóruje,
 trawka miękko zafaluje,
 strumyk, rzeczka — zaszemrają,
 jaskółeczki zaćwierkają;
 a i wietrzyk wnet zaszumi...
 Jak kto umie
 tak pomoże,
 a ty graj, graj niebaze,
 ciągle graj!..
 Toć to maj —
 pamiętaj o tem...
 Złotem
 słońce promienieje,
 zwierz opuszcza mroczone knieje,
 świat się śmieje!..
 Bo wierzeje
 maj otworzył...
 Wszystko to, co Bóg nam stworzył
 jest szczęśliwe, odrodzone,
 odmłodzone!
 i radosne
 Bóg dał wiosnę —
 w wiosnie maj...
 A więc graj,
 ty, jasnowłose,
 boso,
 biedne a radosne:
 wszak i tobie dał Bóg wiosnę!..

Marjan Józefowicz.

NAD POLAMI

Już się wieczorny blask na niebie ploni
 Na Anioł Pański sygnaturka dzwoni,
 Wieczorną ciszą oddychają pola
 Spowite do snu mgłami liljowemi,
 Cienie wieczorne kładą się po ziemi
 I dymi czarna, niestrudzona rola.

Ponad tęskniami polami
 Powstają opary drżące,
 Mgły zwiewne, chwiejne i blade,
 Gdzieś w tańcu przedziwnym mknące
 Lub w ciasną zbite gromadę
 Płynące hen, nad polami.
 Pośród mgieł tych nikłych, drżących,
 Są westchnienia konających,
 Wyszepłane ścicha skargi,
 Przez spieczoną bólem wargi,
 Wieczna ludzkich dusz tęsknota
 I to jarzmo ludzkiej doli,
 Które z czarnej wstając roli,
 Przesycone potem, łzami,
 Wsiąka w mgłę ponad polami...

Doloż ty, dola!
 Idzie przez pola
 Biedna sierota
 Gdzieś, w świat daleki,
 By zdobyć rzeki
 Srebra i złota.
 Idzie ścieżyną
 Hen, w przestrzeń siną
 Na ból żywota.
 W piersi dziecięcej
 Coraz to więcej

Placze tęsknota
 Pól, w mgły spowitych
 I dróg, polrzytych
 Ciałem błota...

Tam, na rozstaju
 Wierzba starucha,
 Naga i sucha,
 Wznosi ku niebu
 Czarne ramiona
 Jak potępiona
 Przed furtą raję.
 Czeką pogrzebu
 Naga, bez ducha,
 A zachód słońca
 Purpurą bucha.
 Wieczorna zorza
 Złoci rozdroża
 Bez kresu, końca...

Nad pola, drogi,
 Nad ciche chaty —
 Krzyż z Męką Bożą
 Przybrany w kwiaty.
 Krzyż tak ubogi
 A tak bogaty
 Wieczorną zorzą
 W złoto, szkarlaty.
 On tu panuje
 Dziś i przed laty,
 Drogę wskazuje
 Kędyś, w zaświaty
 Tym, co się korzą
 Przed Męką Bożą...

Już się wieczorny blask na niebie ploni
 Na Anioł Pański sygnaturka dzwoni,
 Wieczorną ciszą oddychają pola,
 Spowite do snu mgłami liljowemi,
 Cienie wieczorne kładą się po ziemi
 I dymi czarna, niestrudzona rola.

A tymczasem hen, daleko,
 Gdzieś nad modrą, gdzieś nad rzeką
 Jakieś ptaszę w górze dzwoni.
 Pieśniarz naszych pól, skowronek,
 Niby srebrny śpiewa dzwonek,
 W opalowej wisząc toni.
 Już się ziemia do snu kładzie,
 A on jeszcze światu śpiewa
 Chwałę wiosny w cichym sadzie,
 Gdzie zakłęte w bieli drzewa.
 Już się ziemia do snu kłoni
 A on jeszcze światu głosi
 Triumf wiosny w tej ustroni
 Gdzie się krzyż przydrożny wznosi.
 Już się ziemia do snu łoży
 A on jeszcze światu dzwoni
 Radość wiosny w cichym dworze,
 Radość wiosny w kwietnej toni.
 Niebo strojne płomieniami,
 Purpurowe płoną zorze,
 Sine dymy na ugorze,
 Nad polami, nad łąkami...
 On w niebiosach ponad niemi
 Nad tęsknicą naszej ziemi
 Ostatniemi tony kwili
 Radość wiosny każdej chwili.

Zofja Gawlikowska.





Chrystus nad Tyberjadą

(z filmu „Golgota”)

O BRACIACH BIEDNYM I BOGATYM

LEGENDA PODLASKA

Zona brata biednego nie była rada, kiedy jej mąż za robotę u brata bogatego przyniósł gęś kulawą.

— To taki z niego brat! — dogryzała chłopu jak zmija — Bastruk on jakiś, a nie brat! Widzisz, harowałeś jak głupi, dorabiałeś go, na swoim teżbyś lepiej nie robił i co ci za to dał? Nawet prostej gęsi dać nie mógł? To chytrus jeden!

Baba była kłótniwa, czy miała czego, czy nie, ale że chłop siedział cicho i dał jej się wygadać dosyta, tak też się wysapała i cichła. Wiedział on sam dobrze, że mu brat bogaty dał zamało, że z nim tak robić nie powinien, ale zamiast pomstować po ludzku, Bogu swą krzywdę powierzył.

— Będę i ja bogaty, jak się Panu Bogu będzie podobalo.

Zato teraz był biedny jak dziad prawie. Ze dziad bidę klepie, to się i dziwić trudno, bo nie robi nic. A tu człowiek ręce po łokcie urabiał, ani nawet odpoczął przy robocie i nic z tego nie miał. Ludzie to sobie pocichu susali, że to wszystko dlatego, że nie miał angluza, to niby takiej monety, co pieniądze przyciąga. Ale chłop zawsze swoje mówił:

— Jeszcze i mnie Pan Bóg da.

Jak się już baba dosyć na kulawą gęś wyzłościła, zaczęli się namyślać, coby z nią zrobić. Żydom tego sprzedać nie można, choć to przed ich święty drób dobrze płacił. Nie kupiliby kulawej gęsi, bo trefna. Katolik tak bardzo gęsi nacodzień nie je. Samemu zjeść — to też nie można. Zawsze lepiej dostać najmniejszy grosz, niż sobie w smakach dogadzać. Najwięcej do sprzedaży parła baba, ano bo to zaraz sobie kupić chciała nową chusteczkę na głowę — taką z kwiatami, sklepną. Ale chłop się nie zgodził.

— Upieczesz tę gęś w piecu, jabłkami nadziejesz i zaprosimy do siebie Paniezusa.

— O Matko Boska, czy ci, głupi chłopie, kleпки powylatywały ze łba, czy się upiłeś? Jak ty chcesz Paniezusa zapraszać do siebie? Jużbyś Boga głupią mową nie obrażał.

Chłop nie był pijany. Mówił tak naprawdę i taki się zrobił stanowczy, że baba gęś upiec musiała. Gęś wyglądała ślicznie. Była miękka, tłusta, upiekła się dobrze, więc chłop kazał ją położyć na talerzyk, stół przykryć białą i wyszedł z domu.

Śliczny był dzień tego dnia. Takiej jesieni dawno nie było. Nie dopisało lato i żniwa były mokre, ale na kopania to od lat ludzie nie mieli takiej pogody. Radował się chłop ciepłem i Panu Bogu dziękował, że bez kapoty można chodzić, że zaś nie miał jej za co kupić, tak mu z tego ciepła było wesoło, aż i o bidzie zapomniał. Był już ostatni dzień wrzeźnia, a lipy przy drodze gdziegdzie tylko miały listki jakby żółtą farbą posypane, tak dotego były zieloniuteńkie jak w lipcu. Kasztany to po brzegach jakby rdza żarła, ale na jednym drzewie to było nawet parę kwiatków, stojących prosto niby świeczka na choince. Ludzie mówią, że to źle, jak drzewa drugi raz jesienią kwitną, że to choroby będą zaraźliwe, jednak chłop ani o tem pomyślał, tak się cieszył ciepłą jesienią. Nawet zapomniał, poco z chałupy wyszedł, i dopiero jak doszedł do rozstajnych dróg, przypomniał sobie, że to przecie idzie zaprosić do siebie Paniezusa.

Na tem rozstaju biedniuchny był krzyż. Jak go na wiosnę burza do połowy złamała, tak górna część o drzewa oparła i nie było nikogo, żeby o chwałę Bożą zadbać. Więcej było zniewagi, niż chwały Bożej z tego krzyża, bo to chłopci nawet czapek przestali uchylać. Przed kamienną figurą, kwiatami obsadzoną, to zdejmują czapki, ajakże, ale o takim biednym Chrystusie to zapomnieli. I właśnie Jego postanowił brat biedny zaprosić do siebie na kulawą gęś.

Uklęknął chłop przed figurą, zaczął się modlić okropnie gorąco i wreszcie odzywa się tak:

— Przyjdź do mnie, Paniezu, w goście. Możeby Cię lepiej przyjęli we dworze albo i czem smaczniejszym u mojego brata bogatego, ale nie pogardź gościna u mnie. Mam gęś smaczną, dam, co mam w domu najlepszego.

— Idź pośpiesznie do domu, nie mów o tem nikomu i czekaj mnie cierpliwie. Przyjść!

Polecał chłop cõtchu do chałupy, siedli z żoną przy oknie, patrzą wprawo i wlewo, słońce zaszło, gwiazdy wyszły na niebo — Paniezusa niema. Nie traci chłop wiary, czeka cierpliwie, jak mu Paniezus przykazał, a tu już późno w noc puka ktoś we drzwi. Skoczyła do drzwi baba, otworzyła i w ciemnej sieni zobaczyła dziada po kweście.

— A to dziś nie piątek, żeby wam dawać — zaczęła baba po swojemu — Idźcie prędzej stąd, bo czekamy na wielkiego gościa.

— Głodny jestem, drogą zmęczony. Od rana szłem i nic nie jadłem. Znajdzie się coś u was, gospodyni. Dajcie mi jeść.

Baba już miała powiedzieć, że nic w chałupie nie mają, ale ją chłop ode drzwi odsunął.

— Wejdźcie, dziadku, do izby. Czekamy na wielkiego gościa, ale się ten wielki gość nie obrazi, jak tu was zastanie.

Siadł dziad na ławie, chłop mu udo gęsie podał, a jak zjadł, ruszył się w drogę. Chłop go jeszcze zatrzymywał, chciał go nocować, ale dziad mówi:

— To mi wystarczy.

I poszedł sobie, skąd przyszedł.

Chłop z babą siedział przy oknie do białego rana. Smutno mu się zrobiło, że Paniezus nie przyszedł, baba nawet wymyślać mu zaczęła, że to mu się niby przywidziało, że Paniezus zgodził się przyjść do niego, więc bardzo smutny poszedł chłop pod biedniusięki krzyż.

— Czekałem na Ciebie, Paniezu, cierpliwie jak mi kazałeś, a nie przyszedłeś.

— Byłem u ciebie, synu mój, tej nocy, tyś mi w potrzebie udzielił pomocy.

Zrozumiał brat biedny, co to znaczyło. Ucieszony biegnie pochwalić się żonie, a tu chałupa wprawdzie ich, ale taka jakby ją nanowo postawił, stodoła pełna, choć im się zboże nie zrodziło, zato w piwnicy, którą zostawił otwartą, żeby ta trocha kartofli, co ją wykopali, mogła się wypocić, zamiast kartofli znalazł pieniądze. Były tam miedziaki i sporo monet białych, miejscami zaś nawet się i złota pokazała. Nie wiedział chłop, jak to bogactwo policzyć. W szkole nie był uczony; jak co mógł sprzedać, to najwyżej za parę groszy; a tu nie wiem co trzebaby sprzedać, żeby tyle pieniędzy dostać. Z tego wszystkiego przyszło mu do głowy, żeby pienią-

dze zmierzyć ćwiercia, a że własnej ćwierci nie miał, posłał dzieciaka po ćwierć do brata bogatego.

Brata bogatego aż zatknęło.

— Coś w tem jest — puknął się w czoło — Zawsze bida u niego piszczala, a teraz mierzyć coś będzie?

Już go chęć porwała, żeby zrobić psikusa i nie pozyczyć ćwierci, ale go wraz ciekawizna zdjęła, coby też brat biedny miał do mierzenia. Czegóż to człowiek nie wyrabia, że się wywiedzieć o tem, czegoby mu sam sąsiad nie powiedział! Nic mu rumatys, ni strzykanie w kościach, ani go to powstrzyma, że mu rana drzbi, wywiesiłby tylko język, a pół mili pędem biegł, bo ciekawość go tak prze. Brat bogaty nie był inny. Długo myślał, coby tu zrobić, a że dzieciak w sieni stał, dał mu kubek kawy i chleba pajdę, jak nigdy dotąd, a sam myślał dalej. Aż wkońcu myśl przyszła: posmarował dno ćwierci żywicą.

Ciężkie brat bogaty miał oczekiwanie, kiedy czekać mu przyszło na ćwierć spowrotem. Brat biedny się nie śpieszył, a właściwie to nie mógł prędzej odmierzyć pieniędzy. Zawsze to się grosiwo mierzy dłużej, niż kartofle czy siecek. No i namierzył brat biedny półdziiesiątą ćwierci pieniędzy. Nawet trudno powiedzieć, ile tam było naprawdę. Może był tysiąc, a może pięć. Kto to powie, ile się zmieści we ćwierci jednej, a co dopiero w tylu!

Ale się brat bogaty doczekał swojej ćwierci i teraz zatknęło go jeszcze więcej: całe dno ćwierci oblepione było monetami. Za to tylko, co się przylepiło do dna, dwie krowy by kupił.

— To on pieniądze mierzył! Zabił kogoś! A to ci dopiero!

Mało krew nie zalała brata bogatego. Zaczął się wywiadywać pilnie, czy gdzie kogo nie zabili, ale na dziesięć mil wokoło nie napadnięto nikogo; a dalej brat biedny wyruszyć się nie mógł, bo go przecie codziennie widział przy chałupie.

— On ze złem trzyma — zaczął sobie kombinować i sam nabrał ochoty zrobić taki diabelski geszeft, ale nie chciał iść do brata biednego, żeby nie powiedział, że dopiero teraz go zna, kiedy się zrobił bogaty, a przedtem to domu jego nie znał.

Czego to jednak ludzie nie wymyślą!

— Brat mi nie powie, jak djabłu szredał duszę, zaprosze jego babe. Ozór to ona ma, chlapa jest, gadać lubi. Dowiem ja się od niej wszystkiego.

Jak sobie baba w gościach u brata bogatego podniła, i bez pytania wgadala to wszystko. Zapomniała tylko uprzedzić, jak Paniezuś wglądał.

— To tylko za gęsie udo tyle wam dał Paniezuś?

— A tak — zaklinała się pijana baba.

Brat bogaty długo nie czekał. Już to każdy bogacz nie pogardzi, jak mu więcej dadzą, a ten jeszcze więcej był łasy. Zaraz kazał szlachtować wieprza, żeby więcej dostać od Paniezususa. gorzały naszykował flache wielką i poszedł zaprosić Paniezususa. Ale jak to on Boską Osobę zapraszał! Nim podszedł do biedniusiękiego krzyża, to sie naśmiał w duchu, że taki połamany, że Paniezuś na nim tak koślawo zrobiony, a potem stanął przy Paniezusie, nie zdział swej czary granatowej w cztery strony, nie pomodlił się, patrzy tylko zgóry i mówi tak:

— Przyjdiesz do mnie, Paniezu, w gości.

Tak to powiedział zupełnie bez czci Bogu należnej. Mógł mu Paniezuś nie wiem co za takie nieuszanowa-

nie zrobić, ale nawet takiemu chamidłu powiedział łaskawie:

— Przyjdę.

Chłop zaraz nosa dogóry zadarł, zaraz sobie oblicza, ile to będzie miał majątku, bo to on już lepiej umiał liczyć niż brat biedny, a nie chcąc, żeby inni dowiedzieli się, jak prędko zrobić majątek, kazał pozamykać okiennice, aby nawet światełko na drogę nie wyszło. Jak zamknął parobek, to mu było źle, więc sam z gozdziną majdrował, kończyzną szpary utykał i byłby może jeszcze dłużej się z tem dłuwał, ale lunęło z nieba jak z pompy. Cała fala przyszła nie wiedzieć skąd, bo jak wracał ode krzyża, to i na zachodzie było czysto, i słońce świeciło, i ciepłusieńko było jak w Niebie.

Paskudna to rzecz — taki październikowy deszcz, ale — myśli se chłop — Paniezusowi i tak nic nie zrobi. Już to Paniezuś i bez parasola deszcz nie przemoczy. Zalał chłop ręce wtył, po chałupie chodzi jak dziedzic po polu, czeka ze złością, a tu słyży: w sieni ktoś chrapie. Otwiera do sieni, patrzy: dziadyga leży w kącie koło mietły. Chłop był mściwy a hycel jak Cicho wylazł z sieni na deszcz, nie widzi nawet z zaciekłości, że błoto, spuścił psa z łańcucha i dalej szcucz kundlem dziadygę.

— To ty, dziadu, będziesz mi przyłazić, jak ja Paniezususa czekam? To ci piątku zamało?

A pies skacze, dziadem pyrcha i myrga, łachmany targa, aż wreszcie ściągnął wszystko i jeszcze ran mu zębami narobił.

— No teraz będzie miał za swoje — mruknął chłop do siebie i wrócił czekać Paniezususa do izby.

Za chwilę ktoś puknął w okiennicę.

— Gospodarzu, głodny jestem, daj mi jeść. Zapomne ci, żeś mnie nsem wyszczuł, żeś ostatni przemoczony łachman z ciała mi ściągnął. Tylko daj mi choć tyle co paznokiec. Albo i mniej. To mi wystarczy.

Nie dał nic. Złapał w sieni kłonicę, znowu pociachu wskoczył i jeszcze go raz grzmotnął przez plecy, aż dziadyga jęknął i przysiadł na ziemi.

Zepsuł dziad humor bratu bogatemu, a kiedy jeszcze Paniezuś nie przychodził i nie przychodził, chłop się zrobił wściekły, że ani do niego przystąpił. Pies by się nawet wściekł, gdyby go w takiej chwili ugryzł. Ale szczęście jego, wlaźł do budy i ani się bratu bogatemu pokazał.

Ledwie się zrobiło szaro, chłop już nie wytrzymał. Wdyrdy poleciał do krzyża i jak w karczmie zaczął wymyślać Paniezusowi.

— To to tak, to to tak, to to tak — gdał niby kura — To ja wienrza zaszlachtowałem, wódki naku-piłem i nie przyszłeś? Smaczniejsza była kulawa gęś?

A Paniezuś tylko z krzyża krzyknął groźnym głosem:

— Pójdź precz ode mnie!

I zaraz coś chłopu głowe od krzyża odwróciło. Chce chłop jeszcze raz spojrzeć na krzyż, ale zdretwiała szwia nie pozwoliła. Strasznie było tak powracać do swego domu. Szedł chłop przed siebie, a widział to tylko, co było z boku lub za nim. A kiedy chciał do żony coś powiedzieć, język zdretwiały nie pozwolił.

Tak to, widzicie, prawde nowiedział Paniezuś, kiedy mówił, że cokolwiek dobrego uczynicie jednemu z tych maluczkich, samemu Paniezusowi to czynicie. To co się dziejało z bratem bogatym, czy to nie potwierdzenie słów Panachrystusowvch? Powiedźcie sami!

Józef Marjan Chudek

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

„ABY ŻYWOT MIELI”...

Dokądkolwiek zwrócę oczy, uśmiecha się do mnie i zewsząd się wdzięczy nowonarodzone życie przyrody. Łąki, lasy, wody, chlebne pola, góry i niebiosa stają się jedną armią niezwalczoną, która zdobywa sobie pełnię życia. Wodzem jest słońce wśród niebios lazuru, a pod jego komendą zrywają się do ataku na szaniec martwoty mirjady żyjatek i roślin i kwiatów..

I zdaje mi się, że w ciepłe promieni słonecznych płyną ku mnie, że w świeżej wilgoci kropel rosy na trawach przeblyskują mi jakieś głoski jasnych słów o innym życiu, pełnem życiu...

Chrystus je wypowiedział ongi na wiośnianych smugach Galilei: „Przyszedłem, aby żywot mieli i obficie mieli”...

Tak. Jedno jest hasło na niebie i ziemi, hasło wiekuiste. Wszystko tu życia pragnie, o życie wszystko woła, marzy, śpiewa, dąży i zdobywa — pełnię życia! O każdym zakątku lasów mógłbym pisać księgi o srebrzystych smugach jezior — układać z ksiąg biblijoteki. O życiu.. Przedemną wieki przechodziły tędy, no mnie także pójdą wieki, lecz i wczoraj i dziś i jutro szumieć tu będzie hasło życia. Wszechpotężne, boskie, nieśmiertelne...

Hasło to z nową siłą udziela się i duszy mojej, jak udziela się wszystkim duszom ludzkim, jak słodko zaśpiewało w duszy Chrystusowej... „Abi żywot mieli, obficie mieli”...

Jeśli któremu wiekowi, to wiekowi 20-temu imponuje pełnia życia. W duszach narodów, pośród miast i wsi, zdaje się szumieć nieustanna wiosna. Pełnego życia pragną wszyscy, pod jego sztandarem idą. Kiedy się cieszą, chcą się cieszyć pełnem życiem, kiedy płaczą, pełnego życia brak oplakują. Ludw nienasycone, jak przyroda wiosną ludy, których żaden dyktator nie zawróci z wielkiej drogi życia. Wiecznie łaknąć i pragnąć będą jego pełni wszystkie pokolenia ziemi. Zwłaszcza pokolenia, co się rodzą dziś...

Ale łaknąć i pragnąć, nie rozumieją często, na czym polega ta pełnia, jak ją dla siebie zdobyć, jak osiągnąć? Nuca nieśń o życiu pełnem, a tuż obok niego przechodzą, nie widzą, pomijają...

Przypatrzmyż się więc życiu natury widomej, przejawiającemu się i w naszym ciele. Jak ono dąży, jak dochodzi do swej pełni? Będzie to dla nas analogia, przybliżony wzór w dziedzinie ducha.

Skoro więc życie jest, tam *odżwvia się*. Miejsca mi odżwvia się skąro, tam też nie osiąga swej pełni, wygląda mizernie, wegetuje tylko. Lecz przeważnie aż bucha nadmiarem i buja wspaniale od obfitości, różnorodności czernianych zewsząd soków. Każdy korzonek, każde włókieńko, każdy listek i słupkę najdrobniejszego z kwiatów opływa w swój pokarm i napój na uccie u stołu wiosny.

A *życie pełne* swoich ciał czyż nie tak pojmują ludzie nam współcześni? Zaiste, tak. Odżywianie ciała — jaknajobficiej, jaknajróżnorodniej, z jaknajwiększą estetyką i higieną połączone, — jest zasadą stołów.

Lekarze i biologowie rozłożyli na pierwiastki ciało człowieka, zmierzili i zważyli każdą jego cząstkę i stosownie do tych pomiarów wyliczają procentowo, ile trzeba ciału dać skrobi, ile tłuszczu, cukru, węglowodanów, wody... Im więcej różnorodnych składników, tem pełniej skorzysta ze stołu każdy atom cielesnego jeststwa. Toteż kołyszają się okręty wszystkich mórz, huczą niezliczone pociągi z towarami, przewożonemi z jednego krańca globu na drugi. Aby stołom ludzkim zapewnić różnorodność potraw i obfitość... Aby każdy nerw, atom, żyłka ludzkiego ciała mogła się karmić potrzebnemi sobie sokami.. Toteż nad wszystkimi drogami, sklepami, wytwórniami i magazynami świata powiewałyby mogła wszędzie jedna chorągiew międzynarodowa z napisem: „Abi ludy miały życie ciał, obfite życie”...

A skoro wykończą, wyczylują tę pierwszą stronę medalu winny narody wszystkie na kuli ziemskiej ztroskać się o to samo i tak samo dla swej duszy. Lekarze i uczeni winni rozpatrzyć, zmierzyć i zważyć każdy jej porw, każdą zdolność, każdą władzę, i tak oceniwszy dokładnie wszystkie składniki ducha ludzkiego, ułożyć dlań obowiązkowe „menu”... Zasady odżywiania. Systematykę stołów ducha... Czy na nich jest obfitość potraw... Czy różnorodność ich zaspokaja wszelkie potrzeby dusz... czy je cechuje higiena — brak zarazków szkodliwych — i estetyka, pobudzająca apetyt umysłów i serc...

Odrywam oczy od piękna bujnego łąk, na które patrzę z zachwytem oglądanej „pełni życia“, i ogarniam łany ludzkich dusz... Przeglądam ich stoły duchowe... Ach, jakież ubóstwo, jakie prostactwo, jakie niechlujstwo uderza mię boleśnie w zastawie tych stołów, najprawdziwiej *ludzkich!* Człowiek przecież od ducha ma swa godność człowiecza...

Od swego stołu dusze ludów, dusze wieku naszego odchodzą prawie wszędzie głodne. Niedokarmione, nie karmione stale jednym zwłaszcza składnikiem, bez którego niemasz pełni życia ducha! Duch zrywa się do życia nieskończonego, wiecznego. Bez tego rozmachu, bez tej szerokości lotów — w nieskończoność — on nie pojmuje *pełni życia*. Może tylko wegetować, będzie nikły i bez sił, gdy mu się odmówi tego „tłuszczu“. Czembv były ciała ludzi, tem sie staje i duch ludzki bez tej „pinguedinis abundantia“ — obfitej tłustości, jak mówi Pismo św.

Miljard ludzi na kuli ziemskiej nie zna prawie religii, nie zna przedewszystkiem religii prawdziwej. Ponad pięćset milionów słyszało cprawda nawet o Chrystusie, ale Go przykroilo do swych pojęć ciasnych dotychczas namietności bardzo niskiego pokroju. A niepełne pół miljarda katolików czyż obficie, czyż różnorodnemi potrawami zaspokaja głód swych dusz?...

Widziałem raz wyschły step, na którym tu i ówdzie tylko zieleniły się kępki niebogate traw mizernych. Czasem mam nieodparte wrażenie, że taki obraz ludów oglądają dotąd najświętsze źrenice Chrystusowe. A usta Jego ze smutkiem powtarzają wiekowi XX słowa sprzed wieków dwudziestu:

„Przyszedłem, aby żywot mieli, obficie mieli”...

ROZWÓJ USTROJU PAŃSTWA POLSKIEGO

Mamy nową konstytucję. Jeden z jej twórców powiedział, że stanowi ona jednak tylko etap na drodze do stworzenia idealnego ustroju Polski.

Dzieło tworzenia tego ustroju ma już za sobą długą tradycję, w której punktem zwrotnym była Konstytucja 3 Maja. O naprawie Rzeczypospolitej mówiło się od wieków. Zagadnienie to przesyca pisma takich koryfeuszy myśli politycznej, polskiej, jak Frycz-Modrzewski, takich natchnionych patriotów, jak Skarga, takich mężów, jak Stanisław Leszczyński, takich statystów, jak Kołłątaj, Małachowski, czy Staszic.

Oczywiście inaczej wyglądała sprawa reformy Rzeczypospolitej w wieku XV, czy XVI, a zgola o co innego chodziło w wieku XVIII.

Zasadniczym jednak dążeniem była sprawiedliwość społeczna.

W wieku XV przeciwko przewadze możnowładców wydzwigał się stan szlachecki, walczący o to, by szlachcic na zagrodzie był równy wojewodzie. Król, jako zwierzchnik państwa, chętnie szedł na ustępstwo dla szlachty, chcąc w przeciwstawieniu jej magnaterji znaleźć dla siebie oparcie. Wkrótce jednak okazało się, że szlachta wyzyskała nadmiernie sytuację i zaczęła zdobywać pokolei takie przywileje, które godziły w interes państwa, już to bezpośrednio, już to pośrednio, uszczuplając prawa innych warstw, jak mieszczaństwa i chłopstwa.

Do takich praw należało już najwcześniejsze prawo o wpłacie ze szkatuły królewskiej za każdą tarczę, wyprowadzoną poza granicę kraju. Przywilej ten niewątpliwie przekreślił polską ekspansję militarną, a w rezultacie doprowadził do tego, że musieliśmy, miast wieść wojska na inne ziemie, znosić najazdy sąsiadów, i wkońcu na sejmie niemym pod dyktandem obcych bagnetów uchwalać śmiesznie mały kontyngent wojska, będący wprost hańbą dla państwa, mającego przecież wielkomocarstwowe tradycje Jagiellonów.

W obronie przed naciskiem interesu publicznego wymyśliła wreszcie szlachta liberum veto. Można się na nie zapatrywać jako na wyraz wspaniałomyślności i dobroci serca, które nawet jeden głos sprzeciwu uszanują — wygląda to na szczyt „chrześcijańskiego humanitaryzmu“ — ale trzeba jednocześnie podziwiać nieprzezorność polityczną, która dla dogodzenia jednostce, najczęściej najgłupszej, sprzedajnej, narażała na szwank dobro wspólne.

I tak, niestety, było. Przez to tragikomiczne humanitarne liberum veto w ciągu lat jakich stu nie doszedł do skutku prawie żaden sejm, z wyjątkiem chyba haniebnej pamięci sejmku niemego.

Zato weszło w przysłowie, że „Polska nierządem stoi“, że można w niej działać i „prawem i lewem“, że ozdobą Rzeczypospolitej jest szlachcic, żyjący według dewizy: „jedz, pij i popuszczaj pasa“ i w gruncie rzeczy dla tego jedzenia i picia sprzedający swój klejnot i szablę na usługi „równego sobie“, ale przecież bogatszego wojewody. W rezultacie cała Polska podzieliła się na zwalczające się obozy i familje. Kraj szumiał od wiwatów zapijaczonych oczajduszów i jęczał pod stopą najeźdźcy, który, jako arbiter, kazał sobie zapłacić koszta 1-szym rozbiorem, a wkrótce i drugim. Jak tam było, można ocenić z „Pana Tadeusza“, tych barwnych dziejów ostatniego zajazdu szlacheckiego.

Obejrzano się wówczas, zrozumiano, że państwo nie może paść ofiarą rozigranej hałastry szlacheckiej, że sprawy krajowe czyto polityczne, czy religijne trzeba rozstrzygać wewnątrz własnymi siłami, bez uciekania się do obcych rozjemców. W tym celu trzeba ułożyć konstytucję, która byłaby formą układu interesów warstw społecznych pod ogólnym nadzorem państwa. W ten sposób doszło do Konstytucji 3 Maja, która stała się pięknym, ale, niestety, spóźnionym przejawem instynktu samozachowawczego. „Naród z królem, król z narodem“. Taka była dewiza, pod którą dokonano się wiekopomne dzieło.

W tem ujęciu kryła się istota problemu ustrojowego, sprawa równowagi między społeczeństwem a państwem, i jego władzą. I to było właściwie najistotniejsze. Naprawa Rzeczypospolitej nie była do pomyślenia bez wzmocnienia władzy, więc bez ukrócenia samowoli nawewnątrz, i zabezpieczenia się nazewnątrz.

Akt 3-Majowy, będący wyrazem głębokiej troski obywatelskiej grona patriotów, okazał się już tylko platonycznym gestem.

W każdym bądź razie na tle wybuchającej w tym czasie rewolucji francuskiej, należy w tym akcie podziwiać samorzutną myśl, zrodzoną bez przelania krwi bratniej, w kierunku podniesienia stanu trzeciego, usu-



*Sejm uchwala nową
Konstytucję*

nięcia tarć religijnych, stworzenia harmonijnego instrumentu trzech władz pod zwierzchnictwem króla.

Konstytucja 3-Majowa, choć nie dokonała uwłaszczenia chłopów, w czym ją uzupełnił uniwersał połaniecki Kościuszki, była jednak aktem wysoce humanitarnym i demokratycznym, jak na owe czasy. Demokracja szlachecka rozszerzała się prawie bez żadnych ograniczeń.

Wzmocniła się władza państwowa. Opiewany w „Panu Tadeuszu” zajazd przestał być już prawem, egzekutywa przeszła w ręce organów publicznych, a przedstawicielowi władz nie trzeba byłoby już, jak Protazemu po odczytaniu pozwu, uciekać chyłkiem w konopie. Z szalały Soplicy wyrastał powoli zaślubnyjący za błędy przeszłości ks. Robak, z romantycznego Gustawa, bohaterski Konrad.

Te dwa typy reprezentują, najogólniej biorąc, okres walki o niepodległość, trwający blisko lat sto pięćdziesiąt. W tym czasie pojawiają się na arenie politycznej takie postacie, jak Mochnacki, demokracja, czy Wielopolski, artystokrata, którym jednak wspólna jest myśl stworzenia państwa, wyposażonego w autorytet władzy; różnią się jedynie w ustaleniu podstaw tej władzy. Ostatecznie jednak zwycięża kierunek demokratyczny i w nową fazę dziejów, po wojnie światowej, Polska wchodzi jako państwo ultrademokratyczne, pod tym względem dalej idące niż ktokolwiek na świecie. Swobody obywatelskie, sięgające znowu maksimum, trakto-

wanie państwa jako beneficjenta poszły w tłum najszerszy dzięki konstytucji marcowej 1921 r.

Zgubne tego rezultaty nie kazały na siebie długo czekać. Zamiast demokracji przyszła demagogia, a instytucje społecznych dobrodziejstw stały się domeną korzyści uprzywilejowanych ugrupowań, przeważnie socjal-wywrotowych, i częstogęsto złodziei. Reforma rolna, ubezpieczenia społeczne, system kredytowy i podatkowy, wszystko to zostało pomyślane w ten sposób, by stworzyć nowe przywileje dla pewnych grup, a zwłaszcza dla chciwych na dojlidzkie zyski mernerów. Wszystkie wady dawnej Polski szlacheckiej przejęła Polska ludowo-robotnicza. Z Polski zrobiono targowicę (veł Targowicę), gdzie kupczono dobrem publicz-



Wicemarszałek Car przemawia na Starym Rynku w Warszawie

P. Prezydent na nabożeństwie w katedrze po uchwaleniu Konstytucji

nem pod „wzniosłymi hasłami“ rządów proletarjackich i chłopskich. I znów rządy, jak dawniej Rzeczypospolitej król., stały się igraszką kaprysów sejmokracji, znów brakło większości dla pożytecznych ustaw, a zato sypały się bez liczby i litości dekrety ekspropriacyjne i wogóle niedorzeczne, zmieniające życie publiczne w trzęsawisko uprawnionego bezprawia.

Na usprawiedliwienie tego stanu rzeczy, tego życia nad stan politycznej kultury kraju, może być przytoczone chyba to jedno, że cała Europa przeży-



...e po uchwaleniu Konstytucji

...ka u p. premiera po uchwaleniu Konstytucji



Przedstawiciele ciał ustawodawczych i rządu na nabożeństwie w katedrze po uchwaleniu Konst

wała wtedy ostry szal demokracji parlamentarnej, że Sowiety, obejmujące $\frac{1}{6}$ świata, tumanili ludzkość mirażem dyktatury proletariatu.

Wkrótce jednak zaczęto likwidować wszędzie wybujały parlamentarizm, a sowieckie rządy ludu okazały się wogóle dętą fikcją, zamiast wolności, zapanował tam najgorszy terror.

Musiła przyjść i w Polsce reakcja.

Znów wyloniła się kwestja naprawy Rzecz-

spolitej. Podjęto ją pod hasłem wzmocnienia władzy. W tym duchu została ułożona konstytucja z dnia 23 marca 1935 r.

Dawnej zasadzie konstytucji z 1921 r., że „władza zwierzchnia należy do narodu“, przeciwstawia się pojęcie, że Prezydent Rzeczypospolitej jest piastunem władzy jednolitej i niepodzielnej.

O co tu chodzi? — ogólnikowe pojęcie, że naród jest podmiotem władzy, zostało wyjaśnione w tym duchu, że lepiej, gdy władza ta ma swego jedynego, naczelnego przedstawiciela, jeśli niema ustrój stoczyć się na dno anarchji, kiedy to szlachecki „naród“ królowi wytaczał wojny kokosze, kiedy za służbę dla dobra publicznego kazano sobie płacić bardzo grubo, kiedy ostatecznie krajem rządził moskiewski ambasador.

Do ważnych postanowień nowej konstytucji zaliczyć należy zmianę sposobu wyboru Prezydenta. Wybiera go zgromadzenie 75 elektorów, złożonych z „oby-





Walcowie Switalski i Raczkiewicz, premier Kozłowski i prezes Stawek u P. Prezydenta po uchwaleniu Konstytucji

wateli najgodniejszych". Ustupający Prezydent ma prawo wskazać własnego kandydata i wówczas wybór dokonywa się przez plebiscyt.

Prezydent składa przysięgę i jest odpowiedzialny przed „Bogiem i historją“. W tem ostatniem pojęciu kryje się oczywiście wzgląd na charakter więzi historyczno-psychologicznej, łączącej naród w państwo. Autorzy konstytucji dążyli do tego, by władza Prezydenta była istotnie suwerenna, by więc kępowało go jedynie prawo Boskie i historyczna tradycja, by odpowiedzialność przesunęła się w głąb jego sumienia. Tak tę sprawę ujmował w swoim czasie znany teoretyk prawa szkoły krakowskiej, Władysław Leopold Jaworski.

Z dalszych postanowień konstytucji wymienić należy, że Sejm stracił prawo inicjatywy budżetowej, pozabawiony jest głosu w sprawach administracji, rekruta, pokoju i wojny, oraz poczęści umów międzynarodowych. Może jednak występować przeciw stanowi wyjątkowemu podczas wojny i t. d.

Senat będzie składał się w $\frac{1}{3}$ z wirylistów, mianowanych przez Prezydenta.

Co do ordynacji wyborczej, to, zdaje się, ograniczy ona liczbę mandatów do 240 i stworzy okręgi wyborcze od 1 do 3 mandatów, z głosowaniem nie na listy, lecz na imiennego kandydata. Co do trzeciego czynnika władzy sądów, to trzeba stwierdzić, że wyroki wydaje się po dawnemu w imieniu Rzeczypospolitej, wydaje się więc, że monteskjuszowski postulat został zachowany.

Jeśli chodzi o prawa obywatelskie, to jakkolwiek wobec innego układu nowego aktu konstytucji, zniknął cały ten dział, pozostały jednak gwarancje wolności sumienia, słowa, zrzeszeń, również wobec prawa, bez względu na narodowość, wyznanie, pochodzenie, nietykalności mieszkania i korespondencji.

Pozostały również w oryginalnem brzmieniu wszystkie artykuły (99, 109, 118 i 120), dotyczące praw Kościoła, prawa własności i wolności sumienia.

Ważny jest artykuł, omawiający zmianę konstytucji. Przyznaje on prawo inicjatywy Panu Prezydentowi obok $\frac{1}{4}$ składu izby.

Ma więc Polska suwerena, ma widoczną głowę rządów, pozbyła się bezkształtnego i w swej masie nieodpowiedzialnego władcy. Natomiast w charakterystyczny sposób podniosła się rola obywatela-jednostki.

Przesunięcie granicy wieku wyborczego do lat 24 jest na pozór uszczupleniem t. zw. demokracji, ale tam, gdzie ona przechodzi w skrajną demagogję. Starszy wiekiem obywatel-wyborca będzie korzystał ze swego prawa z większem poczuciem odpowiedzialności, niż to było dotychczas.

I na tem może tylko zyskać ogólny interes.

Temu obywatelowi nowa konstytucja zostawia przytem dość szerokie pole inicjatywy prywatnej i publicznej, co powinno stworzyć naprawdę nowe życie zbiorowe, kierowane przez elitę obywatelską.

I tu otwiera się właśnie wyjście do dalszego rozwojowego etapu ustroju państwa polskiego. Dotychczas w ciągu szeregu wieków walciono o przywileje stanowe czy klasowe przeciw suwerenowi i państwu. Dziś wisił należy skierować w stronę zharmonizowania interesów wszystkich obywateli dla ich pożytku oraz dla dobra państwa.

W tym celu państwo musi zostać przeobrażone w ustrój już nie mechaniczny, klasowy, a organiczny, gdzie każda funkcja obywatelska będzie związana z całością życia zbiorowego, nie zaś na niem żerować.

Taki ustrój stworzyć może tylko korporacjonizm, zalecany przez encyklikę „Quadragesimo anno“. Istotą tego ustroju polega na powiązaniu wszystkich czynników społeczno-gospodarczych, a więc pracowników jak i pracodawców, na płaszczyźnie wspólnego interesu zawodowego.

Podstawą organizacji powinien być cykl produkcji, obejmujący wszystkie pokrewne gałęzie, aby uzgadniać ich żądania.

W ten sposób powinny zniknąć tarcia klasowe, a wytworzyć się współpraca i współdziałanie obywateli i ich instytucyj.

Jest to niezmiernie ważne, gdyż pozwoli uchylić wszystkie uboczne wpływy w życiu zbiorowem, wszystkie próby tworzenia takiej czy innej kategorii warstw uprzywilejowanych.

W ten sposób głowa Państwa stanie się naprawdę najwyższym arbitrem interesów zbiorowych, a nie partyjnych i partykularnych rozgrywek.

W tym też duchu powinien pójść wysiłek myślącego po obywatelsku społeczeństwa. Należy porzucić jałowe spory orjentacyjno-partyjne, przestać się kłócić u wezglowia chorej ojczyzny, jak to potępił Mickiewicz, o mało skuteczne leki, a wziąć się do pracy od podstaw, któreby z całego społeczeństwa stworzyła jednolitą, organiczną, a więc żywą, a nie martwą jak kupa piasku, podstawę pod działalność czynnika kierowniczego w państwie.

J. St. Czarnecki.

WITOLD BUNIKIEWICZ

2)

PROROK Z DAMASZKU

NOWELKA

Lecz, gdy tym razem straż na tatarskich kopcach doniosła o zbliżaniu się potężnej kupy ludzkiej, pan Nikodem nie okazywał wielkiego wzruszenia, obszedł tylko wkoło ostrokół, badając jego wytrzymałość i sam wyrychtował paszce armat na ścieżce i przełazy.

Zmęczony zdał się i ospały, jakby upoiła go nagle rozkwitła wiosna i modre oczy Martynki wypłyły z niego dawną zawziętość.

Po raz pierwszy w życiu zapragnął spokoju, a właśnie nie miał go zażyć.

Potężne kupy posuwały się nietylko pod Chodorów, ale zagrażały okolicznym miastom. Spaliły Rozdół i Rohatyn, żydaczowski starosta ratować się musiał haniebną ucieczką, wtargnęły na przedmieścia Brzeżan, pustosząc je do fundamentów, a od Starego Sioła niósł wiatr taką palbę, jakby cała armja osmańska wyległa na zgubę tego zamczyska.

Nieraz już tak bywało, że Lwów i Lublin chwiały się w posadach, a wybudowany na stawiskach gródek chodorowski nie zaznał plag nieprzyjacielskich, lecz jako wyspa wśród ogromnego morza pożóg i krwi, trwał a kasał, niby żmija.

— Djabie horodyszczce, czort w nim hacuje, mawiali pogańcy na Krymie i na carogrodzkich bazarach, z zabobonnym lękiem przypominając sobie wysokie wały i fosy napełnione zieloną wodą, gdzie legła sie wszelaka zaraza, nieszkodliwa dla tubylców, a zabójcza dla przvbyszów.

Zda sie i bydłeta podzie'ały przeświadczenia ludzkie, bo nawykłe do różnej gadziny kosmate konie tatarskie, sieczone do krwi kańczugami, odważały się dopiero zbliżyć do urocznego stawiska. a żaden bachmat turecki, choćby go ubito razami, nie ustał w oczerecie, ale wierzgał, jak opetany i kwiczał spowodu niezliczonych chmur baków i komarów.

I równie osobliwi jak przyroda byli tamtejsi mieszkańcy.

Niewiele dbali o rolę, bo przy lada okazji, której nigdy nie zabrakło, przepadały plony zbóż, przeto wąskim tylko pasem, wkrąg stawów, zieleniły się tam łany ozimin.

Natomiast grząskie wody, niezamarzające nawet w czasie srogich zim, dostarczały w obfitości wyborowych ryb, które, umiejętnie przyrządzone, sprzedawano za dobry pieniądz mieszczanom lwowskim.

Wokół zaś chałup ciągnęły się ogrody przednich zielenin, rzadkich i bardzo cenionych na stołach bogaczy, jako to: pieprzów tureckich, selerów wielkich, niby głowa dziecka i drogocennego szafranu.

W porze zimowej, gdy bezpieczniej było na świecie, kupcyli chodorowianie temi skarbami po odległych nawet miastach, a przed stajaniem śniegów powracali pod opiekę swego gródka, nigdzie nie czując się pewniej, jak za temi niezdobytymi basztami błot i oparzelisk.

Nikogo więc nie przeraził basowy głos dzwonu kościelnego, wołającego na trwogę, ani cienkie, krzykliwe dźwięki hłahołów cerkiewnych, rozbrzmiewających przy zachodniej bramie, zwanej ruską.

Z niskich lepienek i rozkwitłych ogrodów wysuwać się poczęli uzbrojeni ludzie i bez pośpiechu, widno, iż oswojeni z takimi sprawami, zdążali na stanowiska.

Tylko przy żydowskiej bramie wszczął się niejaki harmider, ale nie było obawy, aby się zmienił w popłoch, gdyż stary Izajasz umiał utrzymać karność wśród współbraci i lubo gdzieindziej był to lud niewojowniczy, tu'aj, w Chodorowie, stawał niegorzej od innych mieszczan, wiedząc, że polegać musi na sobie.

Miasteczko było niewielkie i nie mogło żywić leniwców, kto nie miał rąk do wspólnego pożytku, musiał iść precz, wyścigany sromotnie.

Nawet bladzi, jak opłatek, talmudyści, słynący daleko z uczoności, nie zaniedbywali obowiązku i, choć nie mieli siły do dźwigania strzelby, przydawali się do innych posług i spełniali je ochoczo.

A zapału dodawał im widok starodawnej świątyni, której podwaliny miały być z cedru libańskiego, a kamień, wmurowany pod arkę z rodadami, przywiózł przed wiekami z Jeruzalem świątobliwy rebe, ben Simche.

Ten kamień, skropiony łzami pokoleń, chronił budowlę od zagłady.

Setki bitew stoczono w jej cieniu, płonące ku'e roznosiły w perzynę domostwa, kładąc pokotem całe miasto, a świątynia trwała nienaruszona.

Przeto dumni byli chodorowscy żydzi, zrosli w jedną rodzinę, więc na współwyznawców z innych miast spoglądali górnio, wiele myśląc o swej zasobności i znawstwie ksiąg świętych.

I im obca była trwoga przed nieprzyjacielem, który, jako bak natrętny, razwraz huczał koło mias'a, nie czyniąc szkody.

Ale tym razem niebezpieczeństwo było groźne.

Zaledwie straż z tatarskich kopców zdołała schronić się do fortecy, gdy sąsiednie wzgórza pokryły się mrowiem ludzkim, a kule plusnęły w spokojną szybę wody.

Na głos salwy, ludzie u palisad kornie nakreślili na piersiach znak krzyża, a szmer pelen trwogi przebiegł obrońców: Nie kupy to zbójcekie, ale wojsko, Boże ratuj nas od zagłady!

III.

Tej nocy na szczytach dwóch baszt grodziska, umyślnie na ten cel urządzonych, zapłonęły beczki ze smołą, oznajmując okolicy odwiedzinę wroga.

W ten sposób porozumiewały się grody z grodami, czerwieniąc się płomieniami ogni i krwi bohaterskiej.

Co noc, z którejś strony utrapionej ziemi wysyłano w ten sposób przestrożę i, jeśli sąsiadzi nie byli sami zagrożeni, śpieszyli z pomocą. Cześćciej polegać trzeba było na sobie. Nikt nie troszczył się o te kąty, a stolica conajwyżej zżymała się, że komisarze nie wpłacali akuratnie czynszów z miast i włości.

Toteż poważna troska osiadła na czole pana Wołka, a gdy spojrzął na Martynkę, bunt rodził się w jego sercu...



Dnia 15 kwietnia 1935 roku odbyło się w Centrali P. K. O. w Warszawie 36-te z rzędu losowanie książeczek na premjowane wkłady oszczędnościowe Serji I-szej.

Po zł. 1000 otrzymują właściciele następujących książeczek:

33,	3.105,	4.371,	4.745,	7.651,	8.689,	9.710,	22.409,
22.545,	22.636,	22.927,	23.000,	23.072,	27.180,	30.223,	30.399,
33.477,	34.931,	39.555,	40.525,	41.459,	42.651,	43.137,	45.066,
46.722.							

Wylosowane dawniej a niepodjęte książeczki premjowane numery: 5.227, 5.754 Serji I-szej.

— Czy nie lepiej splunąć na te wieczne utrapienia, na ten bezład, samolubstwo i obojętność? Ztatarzyć się lub zbisurmanić, zamiast sterczeć, jak piskorz w błocie, pomiatany przez swoich i uszczwany do znużenia przez wroga?

A kto ci jest takim wrogiem? — odezwała się Martynka, zaniepokojona wzburzeniem małżonka.

— Ci przede mną, i ci poza nami. Tych drugich jeszcze bardziej nienawidzę, bo, gdy Tatar czy Turek odrazu pchnie nożem, ci oddają cały naród na powolne konanie i męki, mówiąc: Wytrwaj, wytrwaj bracie, choć nic ci wzamian nie damy, bo wszystko dla nas, a bohaterstwo dla ciebie!

Nikt na tej ziemi nie ma prawa do szczęścia i spokoju...

Ostatnie dobre moździerz zabrali mi przed miesiącem, aby kasztelanowi w Czerwińsku paliły na wiwat.

A ty giń z bezbronnym narodem!

Martynkę przeszedł dreszcz zgrozy.

— Izajasz z Żydowinami natarli dostateczną ilość prochu, a baterje dadzą się jeszcze użyć, zauważyła pełna obawy.

— Pamiętają jeszcze króla Ludwika i Węgrów, odrzekł ponuro Nikodem, ani jednej lepszej rusznicy nie mogłem wyzebrać dla gródka.

— Przy działach ustawisz doświadczonych puszkarzy, Salak i Ka'iniac dopraszają się tej łaski i błagają setników, aby dopuścili ich do dział, któremi od pięćdziesięciu lat kierują.

— Ślepcy, niedowidzą — warknął pan Nikodem.

Martynka uśmiechnęła się zalotnie i, tając niepokój, wyrzekła:

— A jeśli aga przyszedł pod Chodorów i zamierza go zdobyć?

Nabiegłe krwią oblicze pana Nikodema stało się białe, jak płótno.

— Sam tu jest we własnej osobie.

Roześmiane oczy Martynki przesłoniła chmura zamyslenia.

— I cała Mołdawja ruszyła na nas, rzucił Nikodem. Kupiec Agopsowicz doniósł mi dzisiaj przez zaufanego człowieka, doradzając szczególną baczność, bo ziemia nie widziała jeszcze takiej klęski, na jaką się zanosi.

W Suczawie ogłoszono świętą wojnę, a carogrodzki patriarcha poświęcił chorągiew, która zatriumfować ma nad papistami.

Wojska tatarskie są już pod Lwowem, a naprzeciw stoi Soliman aga z wojskiem, które przysłał sułtan na pognębienie nas i Kościoła. A najgorsze, prawil pan Nikodem, że napastnicy obiecują narodowi spokój i swobodę, nie biorą jeńca i nie grabią, Żydów i Ormian zwodzą nadziejami bogactw i bezpieczeństwa.

— Cóż bowiem macie w tej przybranej ojczyźnie? — mówią hospodarscy słudzy, bezkarne kupy rabusiów i różnych złodziejów, pustoszą wasze mienie, córy i żony wloką jako hurysy do mużułmańskich serajów, a synów na galery. Hospodar was obroni, da spokój życia i uszanuje człowieka.

Po policzkach Martynki spłynęły krople łez, tak rozżaliła ją mowa małżonka, a pan Nikodem rozpowiadał dalej:

— Prawdę mówią Wołosi. Gdyby raz zebrali w Polsce gromadę, gdyby raz jedyny otworzyli mieszkni i wzięli z nich tyle, ile wydają na obżarstwo i pijatyki, nie powstałaby noga napastnika i zapanowałby raj na tej ziemi.

Niemasz dla nas wyjścia, chyba znów cud boży, na którym ciągle polegamy, ocali nas od śmierci i pohańbienia.

Jakby na potwierdzenie tych słów huknęła baterja od palisad i poprzez chmurę dymu dojrzeć było można, jak się skłębilo rojowisko ludzkie na Ściance, gdzie ustawiono armaty, celując je na gródek.

Stary Salak składał dowód, że, choć z trudem stawia nogi, potrafi ukąsić.

Rozchmurzyło się oblicze pana Wołka i w starym żołnierzu zbudziła się przytłumiona iskra uciechy.

Jako dobry majster, który umie ocenić kunszt swego rzemiosła i raduje się pięknem dziełem, choć nie pochodzi ono z jego rąk, tak pan Nikodem z lubością spoglądał na dzieło starca, kuszykającego po wale i mruknął rozradowany:

— Chyba sam Soliman dostał po łbie, bo wielki stał się zamęt na Ściance i uciekają w popłochu, a w chwilę potem ozwały się z kilku stron ciężkie spiże, zasypując diabla horodyszcze żelazem i ołowiem.

— Życie mi się uśmiecha, ale gdyby miał tutaj wtargnąć, nie dam się zabrać żywa, wwszeptła Martynka, tuląc się trwożnie do piersi mężowej.

— Nie damy się, powtórzył pan Wołek, potwierdzając przrzeczenie niemą w duszy przysięgą.

Wszystkie palby, podchody i napady były tylko próbami, mającemi na celu wybadać najslabsze miejsce obrony.

Zdawało się początkowo, że Soliman uderzy na żydowską bramę, ale stamtąd szła bezustannie taka szybka i gwałtowna strzelanina, iż oficerja turecka zmiarkowała:

— Wielkie tam muszą być siły i rwacy się do boju żołnierze, skoro tak prze do walki, lepiej go ominąć, bo za ciężka byłaby z nim przeprawa.

I na ruska bramę nie napierano zbyt silnie.

Głęboka fosa i bagna rozpościerały się po obu stronach drogi, a paszcze gardłaczy, umieszczone w oknach cerkiewnych i na dzwonnicy, zamykały dostęp do miasta. Ojciec Mikołaj Czornvj tam przewodził

Parochem był, służbę bożą znał wybornie, w młodości zaś chadzał z kozakami i wysługiwał się ruskim panom, ponieważ był biegły w łacinie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z POLITYKI

Isolowanie carleyowskiego herosa...

Anglicy nie od dziś mają dziwną słabość do Niemców. Toć filozof angielski Carley nie posiadał się z podziwu dla germańskiego herosa. A inny Anglik, Steward Chamberlein, anglosasów ogłosił za najgenialniejszą rasę świata, przytem zezował wyraźnie w kierunku Niemiec. Nic więc dziwnego, że Niemcy cieszyli się dużejmi względami u Anglików, jako ich najbliżsi krewni, no i jako sojusznicy, którzy pomogli mglistemu Albionowi do pokonania słonecznego Napoleona.

Po wojnie Anglja znów dała się podbić słabości dla pobratymców i przedstawicieli genialnej rasy anglosaskiej. Gdy jednak stało się oczywistem, że Niemcy wojnę nie tyle przegrały, ile przerwały, aby uniknąć rozbicia, jak to genialnie wymyślił gen. Ludendorf i że cała ich polityka po podpisaniu traktatów zmierza jedynie do tego, by się z ich klauzulk wykipić i przygotować sobie moment wznowienia walki dla osiągnięcia celu swego imperjalizmu, — Anglja ponownie zaczyna głębiej patrzeć na Niemcy. Die blonde Bestie, reprezentowaną przez nordycznego „warjata“ Wilhelma, zastąpił czarnowłosy i krótkogłowy Hitler — południowiec cprawda, co zdumiewa B. Shawa, ale dementia politica została ta sama, kompleks wielkości, Herrenschaft nie znikł, przeciwnie wybuchła z typową teutońską furją. Carleyowski heros germański ma tak odstręczające oblicze, że Anglja, spoglądając w nie, zaczyna przytomnieć. Można sobie wyobrazić minę ministra Simona, gdy mu Hitler przez trzy godziny wykladał zasady nacjonal-socjalizmu. Wrażenie jego nie musiało być lepsze od tego shokingu, jakie lat kilkadziesiąt przedtem wyniósł the king of England — król Edward w zetknięciu się z Wilhelmem.

Mglista wyspa i pokój świata.

Z tej interwencji angielskiej, z tej autopsji, dokonanej w Berlinie przez Simona, a w Warszawie i Moskwie przez jego sekretarza Edena, Anglja dochodzi do wniosku, że sprawa stoi jasno, ale zupełnie źle. Niemcy się niczego nie nauczyły i niczego nie zapomniały. Krótko mówiąc, wszystko idzie do wojny, która tym razem wypaść może i na terenie Anglji, dzięki atakom lotniczym. Anglja zrozumiała, że przestała być daleką wyspą. Zaczyna się więc krzątać po wspólnej Europie w poszukiwaniu formuły bezpieczeństwa. Berlin właściwie zapowiedział wojnę, Warszawa neutralność, Moskwa zgodność „poglądów“ z

Anglją. „Ze też od takiej małej wyspy zależeć może pokój świata“ — komplementował Edena Stalin. A na to Berlin ironicznie przygaduje, że też Anglji pochlebia, iż w Moskwie odegrano hymn „Boże zbaw króla“ (Good save the king), skoro właśnie bolszewicy zgładzili jego kuzyna, cesarza Mikołaja. Cóż warte są gwarancje bolszewickie na wypadek wojny: „Zdrajcom i podstępny mordercom trudno ufać“. Warszawa zaś lordowi Edenowi tłumaczyła, że nie zgodzi się na przemarsz wojsk sowieckich na wypadek wojny, bo poco wogóle mieszać Rosję, skoro niema już ona wspólnej granicy z Niemcami. Neutralność Polski wystarczy, a na los Belgji, znany nam zresztą z własnych doświadczeń wieku XVIII — zgodzić się nie możemy.

Pakty bez zaufania?

Zaufanie do systemu paktów regionalnych znacznie się zmniejszyło. Projekt paktu wschodniego należy uważać za pogrzebany, sprawa zaś paktu dunajskiego utknęła na martwym punkcie. Również układy w Locarno nie okazały się zbyt skuteczne, Francja i Niemcy są tak ściśle związane z Europą wschodnią, że na wypadek wojny w tej części Europy mogą być łatwo w nią wciągnięte, co stawia Wielką Brytanię w trudnej sytuacji. W tych warunkach należy system bezpieczeństwa powiązać z systemem Ligi Narodów, lub też być przygotowanym na wybuch wojny w bliższej lub dalszej przyszłości.

Możliwe jest jednak odzyskanie kolektywnych gwarancji bezpieczeństwa w ramach Ligi Narodów. Ewentualna zmiana postanowień traktatów pokojowych nie może w żadnym wypadku nastąpić w drodze gwałtu.

Myszy traktat zjadły...

Nie od dziś utarło się powiedzenie, chytrze powtarzane przez Niemcy, że traktaty to świstki papieru „scrap of paper“. Nie należy ich więc traktować poważnie.

Lecz, żeby móc sobie pozwolić na to lekceważenie traktatów i robienie sobie z nich konfetti na dyplomatyczne bale maskowe, na to trzeba być taką siłą jak Niemcy. Słabsi, którym nieomal wprost na skórze wypisano traktaty pokojowe w St. Germain, Trianon czy Neuilly, niestety już z taką pewnością nie mogą powtarzać, że są to świstki papieru. Lecz los lubi płatać złośliwe figle... Oto z gazet dowiedzieliśmy się, że archiwariusz francuskiego M. S. Z., traktat w Trianon, znalazł w stanie, zaiste pożałowania godnym, mocno postrzępiony przez myszy, widocznie nie

wdrożone do szacunku, podobnie jak Niemcy dla papierowych przejawów dyplomatycznej mądrości. W tym losie dokumentu triańskiego jest dużo symboliki. Istotnie ząb czasu, jak myszy z papierem, obzedł się dość bezceremonjalnie z treścią tego aktu. Wystarczy powiedzieć, że na ostatniej konferencji w Stresie Mussolini postawił na porządku dziennym sprawę dozbrowienia Austrii, Węgier i Bułgarji, czyli przekroczył z całym spokojem Rubikon ograniczeń, nałożonych na te państwa. Dlaczego? Przyczyna jest bardzo prosta. Trudno zostawić na pastwę losu nieuzbrojoną Austrię czy Węgry, gdy Niemcy oddawna zbroją się po zęby. Rada w radę trzeba było zacząć zachęcać do zbrojenia się tych, którym kiedyś tego zakazano.

P. Benesz i Paderewski.

Traktat w Trianon ma także i inne klauzule, dotyczące spraw terytorjalnych. I pod tym względem jest on jeszcze bardziej niebezpieczny.

Minister Benesz, bezceremonjalnie operował danymi statystycznymi, dotyczącymi ludności i kraju. Podać jakiś strumień, przez który mucha mogłaby przejść wbród, za spławną rzekę, z liczącej setki tysięcy hektarów wyspy zrobić piaszczystą wydmy, stu Czechów powiększyć do stu tysięcy, milion Węgrów zredukować do kilkuset tysięcy, to dla p. Edwarda benesédensa w kołach mlótki i kielni było tyle, co połknąć langusta nawet bez cytryny.

W rezultacie pokrajano Austrię i Węgry jak mazurek wielkanocny, a projekty delimitacyjne robiono od niechcenia na odwrocie rachunków restauracyjnych. Nic nie było pewnego, ani świętego. Biograf Paderewskiego, Landau, opowiada w ostatnio wydanej książce następujący incydent. Benesz, jak zwykle, tumanił konferencję jakiemiś wysoce bałamutnymi, ad usum Bohemy czy tam cyganerii dyplomatycznej spreparowanymi cyframi. Wówczas Paderewski zacytował szereg danych, przeciwstawiając je tamtym. Benesz na to odrzucił, że nie ufa polskim statystykom. Paderewski wtedy z całym spokojem odparł, że właśnie spodziewał się te dane usłyszeć od p. Benesza.

— Dziwna to rzecz, że ich nie zna, skoro pochodzą z książki jego rodaka.

— Jakiego rodaka?

— Tomasza, Garrigue Masaryka — rzucił jak piorunem Paderewski. Aby zaś p. Benesz mógł uzupełnić swe wiadomości, pozwolił sobie tę książkę Masaryka ofiarować mu z dedykacją. Zdawałoby się, że taka kompromitacja zachwieje atakiem na Węgry. Niestety

wszystko było już tak ukartowane, że nie dało się nic zrobić i Węgry padły ofiarą niebawomego rozbioru, a stosunki naddunajskie zostały skarykaturowane tak, że podziśdzień budzą wielką trwogę w dyplomacji europejskiej. Stąd inicjatywa Mussoliniego do rewizji pewnych ograniczeń, ciążących na Austrii i Węgrzech.

Japońska potęga.

A teraz problem obchodzący już i Europę.

Czy Liga Narodów znów skompromituje się swą bezsilnością i niedołęstwem, jak w sprawie Mandżurji, czy też pokaże, że coś może postanowić i, co ważniejsze, przeprowadzić?

Skoro mowa o Mandżurji, godzi się wspomnieć o Japonji. Okazję nastrocza kwestja zbrojeń morskich, co już bardzo interesuje jedno z państw demieuropejskich, Anglję. Jest jeszcze trzeci, który się tem interesuje. Są to Stany Zjednoczone. Te trzy wielkie państwa rozegrywają dyplomatyczną walkę o supremację na morzach, a co za tem idzie, o wpływ na politykę kolonizatorską i eksportową świata. Japonja jest dziś niewątpliwie potężnym rywalem na Wschodzie. Od chwili rozpoczęcia swej europeizacji, Japonja jest mocarstwem w całym tego słowa znaczeniu; posiada wspaniałą, jedną z najlepszych na świecie armję i potężną flotę. Że nie od teraz dopiero jest tem mocarstwem, świadczy zwycięska wojna z Rosją w latach 1904—1905. Jej ludność w ciągu tych 66 lat potroiła się. Jej przemysł, który w roku 1868 wcale nie istniał, nie tylko zaspokoić może potrzeby własne, lecz stanowi przedmiot masowego wywozu do całej Azji, Afryki, Ameryki Południowej, a nawet i do Europy.

Jej ogromny przyrost naturalny stwarza dla Japonji zasadnicze zagadnienia: co zrobić z tą ludnością? Trzeba corocznie dać możność egzystencji nowemu milionowi obywateli. Dotąd załatwiano się to poczęści przez emigrację, zwłaszcza do Ameryki i na wszystkie tereny dokoła oceanu Spokojnego. Oczywiście pewną ulgę przyniesie zawojowanie Mandżurji. Co prawda łatwo może być ją zawojować, trudniej przyjdzie utrzymać.

Z TEATRU

Jubileusz Solskiego.

Najwybitniejszy w obecnej chwili polski artysta dramatyczny, Ludwik Solski, obchodził w ubiegłym miesiącu 60-lecie swej pracy scenicznej. Jubileusz to niezwykle, a tembardziej godny uwagi, że zasłużony wielce jubilat — dotąd jest, mimo 80 lat życia, artystą czynnym i pełnym energii.

Popularność Solskiego w Polsce jest ogromna, a bogactwo jego wielkiego talentu zadziwiająca, pracowitość zaś fenomenalna. Ten człowiek nie starzeje się jako artysta i wciąż oślniewa nas nowymi kreacjami. Kto go dziś widzi na scenie — wprost wierzyć nie chce, że ma przed sobą nestora aktorów polskich, tyle życia i temperamentu młodości w jego grze.

Życiorys Solskiego to ogromny szmat historii teatru polskiego przed odzyskaniem niepodległości będącego świątynią ducha, „arką przymierza między dawnymi a nowszemi laty“.

Urodził się Solski w Małopolsce, w Gdowie, dnia 15 stycznia 1855 roku, z ojca Franciszka Ksawerego i matki Stanisławy

z Woyciechowskich. Właściwie Solski nazywa się Ludwik Napoleon Sosnowski.

Ojciec wielkiego artysty pochodził z kresów litewsko-białoruskich, ze znanej rodziny ziemiańskiej — „Karmazynów“, był uczestnikiem powstania listopadowego i wkońcu musiał poprzestać na skromnym stanowisku austriackiego urzędnika sądowego. Miał szczególnie zamiłowanie teatru i przekazał je w dziedzictwo synowi. Matka zaś była obdarzona niewątpliwymi uzdolnieniami poetyckimi.

Ciekawe szczegóły o młodości Solskiego opowiada Adam Grzymała-Siedlecki w monografii o Ludwiku Solskim, wydanej przez T. K. K. T. z okazji obecnego jubileuszu.

Dowiadujemy się z tej sumiennej pracy, że Solski od wczesnej młodości, na ławie szkolnej, palił się do teatru, zaczytywał się w utworach dramatycznych, szczególnie klasyków, przeniesiony zaś do szkoły średniej w Krakowie — nie opuścił żadnej sposobności, by dostać się na przedstawienie teatralne, czy to na „miejsca stojące“, czy też w ostateczności nawet gdzieś w orkiestrze.

Solski przy swym wrodzonym talencie opanował właściwie sztukę aktorską samouctwem. Marzenia ojca, Franciszka Sosnowskiego, by syn został inżynierem lub przynajmniej urzędnikiem, rozwiały się. Ludwik Napoleon — urodził się aktorem i aktorem musiał pozostać.

W sezonie 1875-76 roku zaangażował go ówczesny dyrektor teatru krakowskiego Koźmian, jako bezpłatnego aspiranta. Po raz pierwszy wystąpił Ludwik Napoleon w małej rólce w styczniu 1876 roku pod pseudonimem Macewicz (by nie martwić ojca). Ojciec dopiero z czasem przekonał się o talencie z Bożej łaski syna, przebaczył mu i doczekał się jego wielkich sukcesów i sławy. Zmarł w 1902 roku jako dziewięćdziesięcioletni starzec.

Od 1876 roku rozpoczyna się więc karjera artystyczna Solskiego. Z Krakowa w tymże roku jedzie do Warszawy i tu występuje w teatrzyku „Eldorado“, potem przez szereg lat gra w różnych teatrach prowincjonalnych, na lato jeżdżących do Warszawy. W 1881-2 roku próbuje nawet występować w operetce w Poznaniu, ale chociaż jest obdarzony pięknym głosem, zawód śpiewaka nie przypadł mu do serca. Wracą w 1883 roku do Krakowa i gra odtąd pod pseudonimem „Solski“.

Od 1885 roku pracuje pod dyrekcją Gliksona, aż do 1893 roku. Gdy teatr krakowski im. Słowackiego obejmuje Tadeusz Pawlikowski. Z Pawlikowskim wiąże się Solski przez lat sześć jako aktor i wybitny reżyser. Przez rok pełni później obowiązki reżysera i za dyrekcji Kotarbińskiego. Następnie udaje się do Lwowa, gdzie przeniósł się Pawlikowski i tu pozostaje do 1905 roku, gdy powołano go do Krakowa na dyrektora teatru im. Słowackiego. Przez lat osiem prowadzi tę sławną scenę.

W 1913 roku Solski zostaje zaangażowany przez dyrekcję warszawskich teatrów rządowych jako kierownik, reżyser i aktor teatru „Rozmaitości“ (dzisiejszy Teatr Narodowy). W czasie wojny jest nie z własnej winy chwilowo nieczynny, w latach zaś 1917-18 prowadzi zastępczo „Teatr Polski“ w Warszawie (dyr. Szyfmana). Następnie przez lat cztery widują Solskiego jako gościa teatru w Poznaniu, Wilnie, Lwowie, Krakowie i Łodzi. Od 1922 roku związany jest wielki artysta z teatrami warszawskimi, szczególnie zaś z Teatrem Narodowym, pełniąc obowiązki dyrektora, reżysera i aktora.

Wybitny znawca teatru, Jan Lenartowicz pisze o nim:

„Pomimo ciężkiej pracy dyrektorskiej i reżyserskiej w Krakowie i we Lwowie, Solski zdobył sobie sławę jednego z najwybitniejszych artystów polskich jeszcze przed ustaleniem się w Warszawie. Ale należyty rezonans jego sztuka zdołała uzyskać dopiero w stolicy, gdzie pracę reżyserską i aktorską można było rozplanować dogodniej. Pełnię talentu Solskiego poznała Warszawa jeszcze w roku 1910, gdy wystąpił w dwóch niezapomnianych rolach „Wielkiego Fryderyka“ i „Cara samozwańca“. Kreacje te należą do najwybitniejszych popisów naszej sztuki aktorskiej. Poza tem ujrzała stolica cały szereg pierwszorzędnych kreacji Solskiego: Chudogęba, Strażnik (ze „Złotej czaszki“), Łatka (z „Dożywocia“), Horsztyński, Jowjalski, Iwan Groźny, Skapiec, Filip (z „Don Karlosa“), wstrząsający, niemy Wiarus (z „Warszawianki“), Judasz, Kaligula, Ojciec (z „Niespodzianki“) i długi szereg innych, zapisanych głęboko w pamięci ostatniego pokolenia.

Solski, jako aktor jest realistą z ogromnym poczuciem plastyki. Talent jego rozwinął się w całej pełni swej świetności dopiero po 40 latach wyteżonej pracy. Zdumiewającą jest ogromna ilość ról, w których występował. Żaden aktor, nie tylko w Polsce, ale bodaj w całym świecie nie dorówna pod tym względem Solskiemu. W ciągu swej kariery występował on na różnych scenach około 8 tysięcy razy w przeszło tysiącu ról.

W dzień swego jubileuszu ukazał się w Warszawie w Teatrze Polskim w roli „Judasza“ w sztuce K. H. Rostworowskiego, którą sam wyreżyserował. A niedawno dał wspaniałą kreację w „Intrydze i miłości“ jako Milar.

Twórczość artystyczna jubilata nie jest jeszcze zamknięta. Mamy prawo spodziewać się, że ten wielki aktor — chluba i dumna sceny polskiej — jeszcze nieraz zadziwi nas swą twórczą pracą.

Do wieńca życzeń jubileuszowych zażukonemu rzetelnie artyście — dołączamy i swoje serdeczne życzenia. Sto lat niech żyje i tworzy mistrz Polski!

Życie teatralne Poznania — stolicy Polski zachodniej.

Mieszkaniec stolicy, interesujący się życiem kulturalnym i artystycznym całego kraju, powinien od czasu do czasu przenieść się myślą z teatrów warszawskich do innego poważnego ośrodka życia teatralnego w naszym kraju — do Poznania. Proszę miłych czytelników o odbycie ze mną tej małej podróży tem chętniej, ponieważ stolica Wielkopolski jest dziś, jak się o tem za chwilę przekonamy, poważnym ośrodkiem życia teatralnego.

Zwrócenie uwagi na teatry poznańskie może być pożyteczne i z tego względu, że wskazuje nam ono na specjalną rolę, jaką odegrał teatr w życiu Wielkopolski — na jego znaczenie narodowe. Kiedy zaborca niemiecki rozpoczął w drugiej połowie ubiegłego stulecia tępienie kultury polskiej na ziemiach Wielkopolski i Pomorza, wznosił w sercu Poznania wspaniałą gmach teatralny, t. zw. dziś „Teatr Wielki“ i wmurował w jego fundamenty gład, na którym wryto takie słowa: „W gmachu tym nigdy nie będzie rozbrzmiewała mowa polska“.

To dumne prorocтво nie spełniło się jednak, i od 1918 roku mieści się w gmachu

Teatru Wielkiego polska opera i operetka i jest on źródłem kultury muzycznej na ziemiach Polski zachodniej.

W okresie niewoli Polacy do Teatru Wielkiego nie chodzili. Pomimo ogromnych wysiłków rządu niemieckiego i kierownictwa artystycznego i administracyjnego, społeczeństwo polskie ogłosiło bojkot niemieckiej sztuki i w tym postanowieniu wytrwalo aż do odzyskania niepodległości.

Natomiast, aby nie stracić pokarmu duchowego, wzniosło dla siebie z własnych funduszy skromny „Teatr Polski“, na gmachu którego od strony dziedzińca (na umieszczenie od strony ulicy nie pozwoliły władze pruskie. Gmach teatru mieści się na obszernym dziedzińcu) umieszczono napis: „Naród sobie“.

Podczas otwarcia tego teatru 21 czerwca 1875 roku jeden z jego twórców, Adolf hr. Bniński, takie nakreślił w swym przemówieniu zadanie dla tej jedynej podówczas w Wielkopolsce sceny polskiej: „Ma ona wyższe powołanie (nie tylko rozrywkę) pielegnować i kształcić język ojczysty, odradzać duchowo i wydobywać uczucia w głębi serc naszych leżące“.

Zadanie to Teatr Polski w ciągu wielu lat spełniał zaszczytnie, wykazując w ten sposób narodowe znaczenie instytucji teatralnej.

Między Teatrem Polskim w Poznaniu a społeczeństwem wielkopolskim wytworzył się stosunek specjalny, pokochało ono teatr nie tylko jako miejsce rozrywki artystycznej i wzlotów ducha, ale jako wyraziciela jego uczuć najtajniejszych, dom rodzinny ducha narodowego, jako wyraz walki o polskość Poznania. Te uczucia głębokiej miłości do Teatru Polskiego trwają do dnia dzisiejszego, pomimo tego, że dziś w stolicy Wielkopolski są trzy sceny, bo prócz teatrów: Polskiego i Wielkiego, działa jeszcze Teatr Nowy.

Jednak ani ten ostatni teatr prywatny, skromny i walczący z licznymi trudnościami, ani wspaniały Teatr Wielki, siedziba opery i operetki, nie cieszą się tem przywiązaniem społeczeństwa, co kameralny Teatr Polski, mimo szczupłości miejsca, z tych właśnie przyczyn specjalnych nie rezygnujący z wielkiego repertuaru dramatycznego.

Od lat dwóch kierownictwo Teatru Polskiego spoczywa w rękach jednego ze świetniejszych naszych aktorów, p. Roberta Boelkego, cieszącego się wielką sympatją Wielkopolanek i Wielkopolan. Jako dyrektora teatru prowincjonalnego cechuje go dbałość o dobór sił artystycznych, o właściwą linię repertuarową, która nie załamuje się na potrzebach czysto kasowych i umiejętnie łączy w sobie sztuki o wysokich walorach artystycznych i narodowych z utworami, reprezentującymi rozrywkę i tylko rozrywkę. W zespole męskim należy podkreślić obecność jednego z najtęższych polskich młodych talentów komedjowych, Kazimierza Szuberta, którego gra pełna ekspresji i wyrazu, wróży mu nie tylko dalszą świetną przyszłość teatralną, ale i filmową, oraz Romana Zawistowskiego, młodego zdolnego aktora i reżysera.

Rozporządzając licznym i uzdolnionym zespołem, mógł dyr. Boelke utrzymać Teatr Polski w Poznaniu na poziomie najlepszej

sceny prowincjonalnej i wystawiać z powodzeniem, mimo szczupłości miejsca, w ub. sezonie takie arcydzieła dramaturgji polskiej i obcej jak natchnione „Wesele“ Wyspiańskiego, jak „Hamlet“ Szekspira, „Zemsta za mur graniczny“ Al. Fredry, lub sztuki o wysokich walorach, jak „Dom otwarty“ Michała Bałuckiego i Vojnowicza „Panią ze słonecznikami“.

Sezon bieżący rozpoczęto wystawieniem tragedji Stefana Zeromskiego „Sułkowski“, a zaraz po nim poszła pyszna komedja M. Bałuckiego „Klub kawalerów“, która cieszyła się mimo swej konstrukcji z ub. stulecia długotrwałem powodzeniem na deskach Teatru Narodowego w Warszawie. Potem bawiła na gościnnych występach w Poznaniu jedna z najmiłszych



„Mecz małżeński“. Komedja w 3 aktach. Pp. R. Kiedrzyński, B. Ludwiczanka i K. Szubert.

naszych aktorek Marja Malicka, która występowała w „Marji Stuart“ Schillera, w „Domku z kart“ Granichstadtena i w „Cieniu“ Nicodemiego. Wszystkie wymienione sztuki cieszyły się długotrwałem powodzeniem, co świadczy o dużej kulturze teatralnej i wyrobionym smaku artystycznym publiczności poznańskiej. Idąc po tradycyjnej linii repertuarowej tego teatru, w doborze leższego repertuaru starano się przedewszystkiem o wystawienie sztuk autorów polskich. Grano więc Kiedrzyńskiego „Kobieta i jej tyran“, wznowiono popularną niegdyś krotochwilę St. Dobrzańskiego „Zolnierz królowej Madagaskaru“, a zapowiedziane jest wystawienie kilku nowych zgłoszonych sztuk autorów poznańskich i warszawskich.

Wielki repertuar w najbliższej przyszłości objąć ma wznowienie „Judasza“, najznakomitszego współczesnego naszego dra-

maturga, „akademika“ Karola H. Rostrowskiego, ze słynnym tragickiem Solskim w roli tytułowej, planowany jest również występ znakomitogo artysty i reżysera a obecnie dyrektora teatru im. J. Słowackiego w Krakowie Juljusza Osterwy, który będzie grał swe popisowe role w arcydziełach Juljusza Słowackiego „Lilli Wenedzie“ i „Księżu niezłomnym“. Niezależnie od tych występów, dyrekcja przygotowuje prapremjerę „Przedwiośnia“ Stefana Zeromskiego w inscenizacji poznańskiego krytyka Stefana Papée, co będzie sensacją dla całej Polski kulturalnej i wznowienie „Bolesława Śmiałego“ St. Wyspiańskiego.

Jak widzimy, Teatr Polski w Poznaniu ożywia duch narodowy, co ma swój specjalny wyraz uczuć społeczeństwa, mieszającego w pobliżu zachodniej granicy.

Abym ducha tego przelewać w młodzież, zorganizowane zostały osobne przedstawienia dla młodzieży.

Ze sztuk obcych znacznieszym powodzeniem cieszyły się: „O pięć minut zapóźno“ Gandery, „Kobieta, która kupiła męża“ Passeura, „Rozkoszna dziewczyna“ P. Gavaulta, w opracowaniu polskiem Juljana Tuwima i „Szwedzka zapalka“ Hirszfelda.

O Teatrze Wielkim nie mogę pisać obszerniej, nie jestem bowiem krytykiem muzycznym i na przedstawieniach operowych zachowuję się i zachwyam jak każdy laik.

Mam jednak pomimo to nadzieję, że tą krótką korespondencją zwrócę uwagę bywalców teatralnych na życie teatralne Poznania — stolicę Polski zachodniej.

Ludomir Rubach.

Zgon Mieczysława Frenkla.

Dnia 19 kwietnia r. b., w Wielki Piątek, zmarł w Warszawie znakomity polski artysta dramatyczny, najlubiejszy aktor stolicy, ś. p. Mieczysław Frenkiel. Urodził się w 1859 roku w Sandomierskiem, w środowisku ziemiańskim. Próbował gospodarować na roli, lecz niebawem przeniósł się do Warszawy i zapisał się na wydział lekarski Szkoły Głównej. Ale okazało się, że zawód lekarza nie pociągał go, wolał teatr. Wstąpił więc do szkoły dramatycznej Derynga. Tak jak Solski zaczął swą karierę sceniczną od debiutów w teatrze krakowskim Koźmiana, gdzie pracował przez lat pięć, potem przeniósł się do Lwowa, a 1889 roku do Warszawy, gdzie objął rolę w spuściźnie po słynnym aktorze Zółkowskim.

Frenkiel był genialnym odtwórcą bohaterów Fredry, Bałuckiego, Blizińskiego, Przybylskiego, Mollera. Któż nie pamięta go ze „Ślubów paniejskich“, „Zemsty“, „Pana Renata“? Był wcieleniem t. zw. sarmatyzmu w sztuce i godnym reprezentantem najpiękniejszych tradycji sceny polskiej. Popularność jego była wprost wyjątkowa. Warszawa kochała szczerze starego Frenkla, artystę z Bożej łaski i najlepszego Polaka.

Ś. p. Mieczysław Frenkiel od kilku lat pozostawał już na emeryturze teatrów miejskich, był prezesem kapituły zasłużonych aktorów ZASP-u, członkiem honorowym tej instytucji, lektorem Uniwersytetu Warszawskiego i posiadał wysokie odzna-

czenia polskie i obce. W 1928 roku obchodził 50-lecie swej pracy artystycznej. Od paru lat niedomagał. Pogorszenie nastąpiło niespodziewanie i przecięło nić pracowitego życia.

Zostawia Frenkiel dobrą pamięć po sobie. Niech Bóg będzie dla niego sędzią łaskawym.

Jubileusz Janiny Korolewicz-Waydowej

Dyrektorka Opery Warszawskiej, znakomita śpiewaczka polska Janina Korolewicz-Waydowa, obchodziła jubileusz 35-lecia swej pracy artystycznej. Znają ją dobrze sceny polskie i obce, a przeto obchód jubileuszowy w Teatrze Wielkim miał charakter hołdu zasłużonej jubilatce ze strony naszych sfer artystycznych i kulturalnych. Z okazji jubileuszu P. Prezydent Rzplitej nadał Korolewicz-Waydowej krzyż oficera „Polonia Restituta“.

Z PIŚMIENICTWA

Marja Pawlikowska-Jasnorzewska została laureatką nagrody Związku Zawodowego Literatów Polskich w Warszawie. Nagroda, przyznawana za tom najlepszych poezyj z okresu trzech ostatnich lat, przypadła jej za zbiór wierszy pt „Śpiąca żaloga“. Pawlikowska-Jasnorzewska, coraz częściej potracająca w swych utworach o nutę społeczną, jest na terenie poezji odpowiednikiem Boya-Zeleńskiego i Krzywickiej. Stoł ona na stanowisku naturalistycznym.

Nowy dramat Stanisława Młazewskiego, podobnie jak wszystkie inne jego dramaty oryginalne, napisany wierszem, ma za temat dzieje zatargu króla Dawida z synem Absalonem. Zasadniczym jego zagadnieniem jest kwestja świętości.

Sprawa reformy ortografii pociągnęła za sobą w ostatnich tygodniach istną lawinę artykułów w pismach najrozmaitszego typu. Obok specjalistów zabierają często głos dyletanci, którzy kompromitują się całkowitem nieuctwem, wykazując zupełną nieznajomość gramatyki języka polskiego. Nierzadko więc jest to wyważanie otwartych drzwi. Z głosów poważniejszych zanotować wypada przedewszystkiem wymowny alarm senjora językoznawców polskich — prof. Aleksandra Brücknera pod wymownym tytułem „W ostatniej chwili!“ „Mielliśmy dotąd pisownię etymologiczną, historyczną i in. (?) — alarmuje prof. Brückner — otrzymujemy nową, niechlujną, przypominającą druki saskie, gdzie z podobnemi niechlujnościami nietrudno się spotkać.“ Nawet głos Paderewskiego można zanotować w tym gorączkowym chórze. W niedawno z angielskiego przetłumaczonym „Paderewskim“ Rom Landaua w postawie znajdują się rozmowy, jakie monografista przeprowadził z wielkim pianistą w Rion Bosson. Paderewski nie pominał tej tak dziś aktualnej sprawy. „Nie rozumiem, że swojemi reformami podcinają korzenie fonetyki polskiej.“ „Stwarzają coś sprzecznego z duchem, z muzykalnością języka polskiego.“ „Ubolewam nad wszystkimi temi śmiesznymi reformami lingwistycznymi. Mogą nawet zmienić ducha i charakter narodu.“ Tych kilka zdań wystarczająco świadczy o stanowisku Paderewskiego.

O nowy tekst hymnu narodowego. Sprawa nieaktualności tekstu naszego hymnu narodowego odżyła znowu z nową siłą. Poruszana w pierwszych latach niepodle-

głości, teraz przypominała się w formie konkursu, który rozpisuje na nowy tekst jeden z dzienników warszawskich, z pokazaną nagrodą w wysokości 2500 zł. Protektorat nad konkursem objęła Polska Akademia Literatury, która będzie również najwyższą instancją sądu konkursowego i wyda orzeczenie ostateczne. „Liczmy zresztą nietylko na twórców znanych i opromienionych sławą — pisze „Express Poranny“ — ale także na utajony instynkt poetycki najszerzszy mas. Któż wie, które usta wybierze duch narodu za medjum swych słów? Sądzimy także, że nowy hymn może być dziełem zbiorowym, że może być zespołem strofek pochodzących od różnych poetów. Tu, gdzie chodzi o wyrażenie duszy narodu, może braknąć mistrza na miarę Mickiewicza, ale świetne dzieło wyniknąć może z połączenia błysków natchnienia kilku autorów.“ Podkreślić trzeba, że melodia hymnu narodowego pozostanie niezmienną. Według inicjatorów konkursu, chodzi tylko o nowy tekst. Pomyśl ten będzie niewątpliwie przedyskutowany na łamach prasy polskiej, narazie jednak trudno zająć stanowisko obiektywne, ponieważ argumenty za i przeciw równoważą się półnapięciem.

Pięćdziesięciolecie śmierci Odyńca. Dnia 15 stycznia r. b. upłynęło pół wieku od śmierci Antoniego Edwarda Odyńca. Dr. Hugo Zathy, kreśląc w dniu pogrzebu wspomnienie pośmiertne, pisał, że Odyńcowe „Listy z podróży“ „dla historyka literatury nazawsze drogocennie pozostaną źródłem“; tymczasem przed paru miesiącami dr. Henryk Zyczyński wykazał w „Pamiętniku Lubelskim“, że „Odyńce komponował swe „Listy z podróży“ dla celów czysto osobistych, dla własnej popularności, rehabilitacji i interesu. Przez swoje mystyfikacje i dowolność wyrządził Mickiewiczowi dużą krzywdę.“

Sienkiewicz a Śląsk. Dr. Józef Birkenmajer, omawiając w niewielkiej broszurze stosunek Sienkiewicza do Śląska, stwierdza, że Śląsk zawdzięcza mu wiele w okresie klęski głodowej w r. 1879. Okazuje się, że już na progu twórczości był Sienkiewicz energicznym filantropem, który przez zaprojektowanie i zredagowanie jednodniówki „Ziarno“ zapewnił głodującym wydatną pomoc w postaci dochodu z jej rozprzedaży. Na jednodniówkę, wydrukowaną bezinteresownie przez drukarzy warszawskich, złożyły się prace wszystkich najwześniejszych pisarzy, malarzy i muzyków ówczesnych. Sam Sienkiewicz wydrukował w „Ziarnie“ nowelę swoją pt „Czy ci najmilszy?“.

Nowy utwór Świętochowskiego pt „Genealogja teraźniejszości“ publikuje nowy tygodnik literacki — „Prosto z Mostu“. Jest to najostrejszy atak, jaki w ostatnich latach skierowano przeciwko Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu. Przedstawiając króla jako figuranta carycy Katarzyny II, nestor pisarzy polskich pisze, że król „wad koronę, uczciwość, dobro narodu, nad wszystko, co ma wartość dla prawego człowieka, wyżej cenił bezpieczeństwo i pieniądze, które od niej przez 30 lat panowania ciągle otrzymywał“.

Czy literat może żyć z literatury? „Może doskonale, ale pod jednym warunkiem: będzie się ubierał i żywił jak Mahatma Ghandi, a i to na kupno kozy trzeba mu dać zaliczkę.“ Taką odpowiedź dał w prelekcji radiowej Wacław Rogowicz. W sformułowaniu tem jest pewna przesada, temniemniej faktem jest, że współczesny lite-

rat polski, pracując tylko literacko, na życie nie zarobi. Przyczyna tego tkwi w małych nakładach książek, co skolei pociąga za sobą niską stawkę honorarjów.

„Faraon“ nie po polsku. Powieść Prusa, z rozmachem i intuicją odtwarzająca dzieje starożytnego Egiptu, przełożona została na osiem języków: czeski, niemiecki, rosyjski, flamandzki, węgierski, serbski, esperanto, angielski. Przekłady czeskie istnieją dwa różne.

Śmierć poezji? W Klubie Artystycznym S. doc. Sergusz Kulakowski wygłosił prelekcję o współczesnej poezji rosyjskiej. We wnioskach końcowych stwierdził, że „wierszotwórstwo rosyjskie dnia dzisiejszego upada, powstaje nowa proza“, która wchłania zdobycze wierszotwórcze. Zdaje się, że tak nie jest tylko z poezją rosyjską. Podobnie dzieje się u nas, gdzie cała t. zw. proza awangardowa (np. Jalu Kurek) jest właściwie rozwinięciem eksperymentów, które wydawały się doniedawna zbyt śmiałymi nawet na terenie poezji. A więc poezja jako laboratorium doświadczalne dla nowej prozy? Czy wobec tego można mówić już nie o upadku, ale wręcz o śmierci poezji?

REYMONTA „Zielone sztachety“. Powieść Reymonta pod takim tytułem nie istnieje, jednak w pomyśle autora była już wykończona. Ale Reymont jej nie napisał, a wiemy tylko o niej od Adama Grzymały-Siedleckiego, któremu treść jej Reymont opowiadał jakiejś nocy i który skolei powtórzył ją niedawno w „Kurjerze Warszawskim“. Akcja powieści rozgrywała się w środowisku cyrkowem, a była tak przez Reymonta przeżyta, że identyfikował się ze swoimi bohaterami i twierdził, jakoby sam występował kiedyś w cyrku. „Gdyby ktoś w ukryciu mógł był stenografować te pięć godzin natchnionej opowieści — wzdycha niepocieszony Grzymała-Siedlecki — tak właśnie ze wszystkimi ekspresyjnymi skrótami stylu, których po latach ani w części oddać nie potrafię, z tą mocą żywiołowo rodzących się świetnych wyrażań, z tą bezpośredniością powstających scen, w tym hypnotyzującym szkicu powieściowym, który autorom potem rozważania się tak często w zbyt staranne rozpełnianie artystyczne — gdyby to mogło być zapisane tak właśnie, jak to Reymont w genialny wprost sposób improwizował, byłaby to powieść, jedna z najtęższych w jego dorobku, a może i w całej naszej beletryście.“

EDWARD NEHRING: Uprawa pomidorów na własny użytek w gruncie i na balkonach — Warszawa 1935, cena 1.50 zł, z 19 rycinami w tekście.

Autor, zamiłowany warzywnik, pragnie we wszystkich sferach rozpowszechnić pasję do hodowli i spożywania pomidorów, tego jedynego bodaj z warzyw, które posiada wszystkie witaminy A B C D i E w największej ilości. Cała książka uczy jak wykorzystywać każdy wolny skrawek ziemi, nawet balkon i okno pod hodowlę, w sposób nowy przez rozpinanie krzaka na 3 lub 4 pędy, gdyż — jak twierdzi szanowny autor — tylko owoc, dojrzewający na krzaku (a nie na daszku lub oknie) może dać pełnię smaku i pożytku. Przytem należy się orjentować przy wyborze nasion, że nie wszystkie odmiany (a jest ich już z półtororej setki zgórą), choć piękne po wyrośnięciu, — mogą być z korzyścią użyte na sałatki lub konserwy.

POD WYSOKIM PROTEKTORATEM AKCJI KATOLICKIEJ
 REPREZENTACYJNY KINO-TEATR STOLICY
FILHARMONJA

wyświetla gigantyczne arcydzieło filmowe najnowszej produkcji francuskiej p. t.

G O L G O T A

(ŻYWOT I MĘKA JEZUSA CHRYSZTUSA)

natchnionej reżyserji **Julien Duviviera**

podług scenarjusza ks. kan. **J. Reymond.**

GOLGOTA.

Dobrze się stało, że Filharmonja i Parlofilm wystawiły pod protektorem Akcji Kat. film „Golgota”. Dzieło to naprawdę wielkiej miary, przynoszące zaszczyt swą dramatyczną zawartością autorowi scenarjusza ks. kanonikowi Reymond, zaś artystyczną oprawą znakomitemu reżyserowi, Julien Duvivier.

Do bardzo szczęśliwych pomysłów, stanowiących oryginalny wkład autorów filmu, należy niewątpliwie ukazanie się Chrystusa na tle konfliktów życia społecznego i politycznego swego czasu.

Przez kontrast ze środowiskiem, w którym wypadło Mu działać, tem wyraziściej i żywiej uwydatnia się Boskie nadprzyrodzone posłannictwo Jezusa.

Od pierwszej chwili rzuca reżyser ciekawość widza na wartki potok wydarzeń, pełnych wielkiej dynamiki. Z jednej strony entuzjizm tłumu, który płaszcami i zieleńią, świeżą, wiosenną zieleńią zaściela drogę zbliżającemu się do miasta Prorokowi, z drugiej nerwowe zaniepokojenie Synhedrionu, który czuje się zagrożony w swej pozycji.

Z rozpędem wiosennej burzy, pędzi tłum na spotkanie Mistrza, którego pragnie ogłosić swym królem, ziemskim władcą. Wśród potoków ludzkich rzesz otwiera się nagle słoneczna wyspa, na której majaczy cień ośliny, wiozącej Jezusa.

Czy tak wygląda wjazd króla?...

Na obliczu Arcykapłana także, cień, cień niezadowolonia i lęku. Co zrobić z tą nową groźbą dla władzy swojej i Rady Starszych? Z jednej strony uszczuplił ją rzymianin, Piłat, z drugiej — zagraża Jezus. Nagle błysk myśli. Stawić przed sąd Rady, a zatwierdzenie wyroku wymóc na Piłacie. W tej rozgrywce ktoś musi zniknąć z placu, Jezus albo Piłat, a może jeden i drugi razem...

Węzeł dramatyczny zawiązany. Dociska go mocniej sam Chrystus. Gdy dotarł do świątyni i wszedł na jej stopnie, nie odwrócił się do wiwatującego ludu i nie rzucił oczekującego hasła: „Oto wasz król”. Na twarzach wszystkich: grymas zawodu. Najgłębiej odczuł to Judasz, który już widział się w roli skarbnika nowego króla, już obliczył zyski z handlu w świątyni. A tu nic. Gorzej — Chrystus powrócił rozpędza kupczącą zgraję. W tej chwili Judasz postanawia zdradzić tak „nierozsądnego” Mistrza.

Zaczyna się tragedia pojmania, stronniczego sądu, wodzenia od Kajfasza do Annasza, od Piłata do He-

roda. Na twarzach prześladowców Chrystusa pisze swe znaki: nienawiść, zaciekłość, przebiegłość, drwina i obojętność.

Wśród tych masek ludzkich, w których liczbie najciekawsza była niewątpliwie ironiczna twarz Heroda, (genjalny, H. Baur), obracającego sąd nad Jezusem w wesołą pantominę, najbardziej ponura — Judasza, najzimniejsza — Piłata, najzłośliwsza arcykapłana, najzmienniejsza i najżywsza Piotra — przesuwają się pełne nieziemskiego spokoju oblicze Zbawiciela. W cyklu coraz bardziej pogłębiającej się męki, która w krwi i pocie rzeźbi bólem nawskroś ludzką tę twarz, zachowuje się niezmienny stygmat Boskiej wzniosłości. Jest zasługą Roberta le Vigan, że umiał w swej kreacji zespolić te dwa momenty i że doprowadził swe dzieło szczęśliwie do patetycznego epilogu: ukrzyżowania na Golgotcie.

Ku niej wiodą Chrystusa. Pod ogromnym ciężarem ugina się wąta, ubiczowana postać, chwieje się, siania i wreszcie pada po wielekroć, ginąc pod wielką masą drzewa. A tłuszcza, wśród której znajdziemy twarze niedawno przepędzonych handlarzy, wyje z uciechy, naigrawa się z umęczonego, oblepia wreszcie niezliczonym mrowiem stoki Golgoty, nad którą na tle ponuro skłębionych chmur za chwilę zamajaczą trzy krzyże. Reżyser nie oszczędzi nam jednak nic z realizmu tej straszliwej kaźni, widzimy młotki, wbijające gwoździe w dłonie. Patrzymy z bólem na twarz krwią zalaną, z czołem cierniem zoranem. Ze zgrozą spoglądamy na obwisające coraz bardziej, śmiertelnym dreszczem przejęte ciało Zbawiciela. Jeszcze rozmowa z łotrem, jeszcze ostatnie przebolesne westchnienie i wreszcie głowa Jezusa skłania się na piersi. Niebo rozdzierają błyskawice, ziemia drży. Tłum ucieka w popłochu.

A potem złożenie do Grobu, Zmartwychwstanie, ostatnie nauki udzielane apostołom... I znów wszystko przedziwnie się wypogadza. Św. Piotr znów z wiarą i ogromną miłością patrzy w twarz swego Mistrza i trzykroć przysięga spełnić Jego wolę... Właśnie trzykroć...

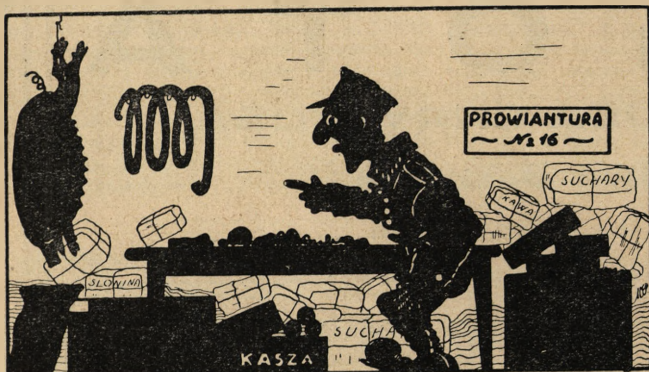
Z trudem odwracamy oczy od błędnego ekranu, z trudem odzwyczajamy słuch od szlachetnej melodji, która z niego spływa, by wrócić do bieżącego życia i oderwać się od tego wielkiego historycznego a jednocześnie mistycznego wydarzenia.

cki.



A GDY POSZEDŁ SRUL NA WOJNĘ

A gdy poszedł Srul na wojnę,
Lamentował tate Jojne,
Rwała włosy mame Sure,
„Poco wun nadstawia skórę?”
My neutralni z miasta Łodzi,
Co to wojsko nas obchodzi?!”



Na wojenkę Stacha brali,
Ojciec z matką go żegnali,
Dać na drogę buty chcieli,
Lecz nie dali, bo nie mieli:
„Bij Moskala, kraj w potrzebie,
Będzie, Stachu, kapral z ciebie”.

A na wojnie świszczą kule,
Lud się ściele, niby snopy,
Poco mają ginąć Srule,
Kiedy są od tego chłopcy?
Delikatne zdrowie mamy,
Niech się za nas biją chamy,
Lepiej szedzieć, głupi chłopie,
W prowianturze, niż w okopie —
Żyd cię sprzeda, kupi on cię,
Czy to w tyle, czy na froncie.

Do ataku pulki idą,
Ginie żołnierz w polu szczerem,
Stach — bez nogi inwalidą,
Srul — kasowym oficerem!
Chodzi w Łodzi po ulice,
W rogatywkę i z pałasze,
Aż cmokają żydówice:
„Sy a git to wojsko — nasze”!!!

TAM NA BŁONIU BŁYSZCZY KWIECIE...

Tam na błoniu błyszczą kwiecie...
Potrzebuje na pikiecie
Ulan Frociu stać..
Niewiadomo naco, poco
Postawili mu tu nocą...
Zaczyna się bać...
Wtem — mignęło coś zza krzaka,
Czy to Moskal, czy sobaka,
Czy to inny zwierz?



Jedzie patrol bolszewicki,
Dwa Iwany, cztery Icki
I „komysarz” — też.
Ulan bardzo się nastrasi,
Ale widzi co to — — nasi,
Krzyknął głośno: „Halt”! ..
Cisnął szablę, rzucił pikę:
„Gite szabes, bolszewike,
Idę do was bałd”!
Jadą Icki, z nimi Frociu
I „komysarz” — też na goicu
Bolszewicka straż.
Znikli razem w cieniu nocy,
„Niechaj żyje Lejba Trocki
I Grünbaum nasz”!

J. Marcińczyk.

NIEZAWODNA OZNAKA.

Panna Helcia uczy się śpiewu. Koleżanka pyta ją:
— Jakże ci idzie nauka?
— Coraz lepiej!
— Czy ci to powiedział profesor?
— Nie, ale zauważyłam, że mój tatuś nie nosi już waty
w uszach...

W TRAMWAJU.

Mama zapytuje szeptem córeczkę:
— Gdzieś, Eluniu, podziała łupy z banana?
— Elunia: — Temu panu, co teraz wysiadł, wsunęłam je do
kieszeni jego zarzutki.

PRZEMYSŁNA WALERCIA.

Pracownica domowa, Walercia, otrzymała od chlebobawczyni
polecenie wymycia okien, które były bardzo brudne.
Po pewnym czasie chlebobawczyni kontroluje robotę Walerci
i stwierdza, że szyby w oknach są brudne po dawnemu.
— Walerciu! — irytuje się. Co to znaczy? Miała Walercia
wymyć okna!
— Wymyłam, psze pani...
— Nieprawda!
— Jak pragnę zdrowia! Wymyłam od środka, żeby można było
patrzeć na podwórze. A od strony podwórza nie myłam, żeby
nam w okna nie zaglądali!

ZNALAZŁ SPOŚÓB.

— Słuchajno — mówi jeden wróżęga do drugiego — jak to ro-
bisz, że udaje ci się wszędzie coś dostać?
— Ano tak — odpowiada zapytany — wszędzie, gdzie przycho-
dzę, a otworzy mi drzwi jakaś kobieta, pytam zawsze: przepra-
szam, czy zastałem mamusię panienki w domu?

DANE SŁOWO.

— Dlaczego pijesz wódkę przez słomkę?
— Bo dałem słowo żonie, że usta moje nigdy nie dotkną
alkoholu.

DYZENTERJA.

Żołnierzom zastrzykuje lekarz surowicę.
— Panie doktor — zapytuje Srulek — na co to potrzebne?
— Przeciw dyzenterji.
— Panie doktor, jak ja będę chciał zdezenterować, to i surowica
przeciw temu ne pomoże.

DELIKATNY ODKOSZ.

— Jak pani myśli? Czy ojciec pani nie miałby nic przeciwko
temu, żebyśmy się pobrali?
— Prawdopodobnie nic, gdyż mój ojciec z zasady jest wręcz
przeciwnego ze mną zdania.

DLACZEGO?

— Mamusu... Dlaczego tatuś nie ma ani jednego włoska na
głowie?
— Bo tatuś jest mądry, dużo myśli, dużo pracuje głową, to mu
włoski powypadały.
— Tak.. A dlaczego mamusia ma takie gęste włosy?
— Odczep się ode mnie!

CIERPLIWY.

On: — Moja żona uczy się grać na fortepianie, a córka na
sprzypcach.
Przyjaciel: — A ty nie uczysz się niczego?
On — — O tak, uczę się cierpieć bez narzekania.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

Wielki i zbawienny czyściciel, tu na ziemi odbywa człowiek cierpliwy, który, przyjmując zniewagi, więcej boleje nad złością drugiego, jak nad swoją obelgą: który za nieprzyjaciół swoich chętnie się modli, i z serca odpuszcza im winy: który nie odwleka prosić drugich o przebaczenie: który skorszy jest do zmiłowania się, niżeli do gniewu: który sam siebie często zwycięża i usiłuje ciało swe zupełnie poddać duchowi.

Lepiej jest teraz oczyścić się z grzechów i pozbyć się wad swoich, aniżeli to odkładać na przyszłość.

Zaprawdę, zwodzimy nas samych przez nieumiarkowaną miłość, którą mamy ku ciału naszemu.

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

RACJONALNE GOSPODARSTWO DOMOWE JAKO CZYNNIK PAŃSTWOWO-TWÓRCZY

Na Zamku Królewskim — odbyło się pod powyższym tytułem zebranie, na które paręset kobiet, zwołała pani prezydentowa Marja Mościcka. Organizował je Instytut Gospodarstwa Domowego, prowadzony pod przewodnictwem p. Janiny Huberowej, która zabrała pierwszy głos w zebraniu, program był następujący:

Organ pracy domowej, budżet, celowość urządzeń i mieszkania, p. Marja Ponikowska (Inst. Nauk. Organiz. i Kierownictwa). Dietetyka i higiena życia codziennego, p. Dr. Gustaw Szulc, Dyr. Państw. Inst. Higieny. Gospodarstwo domowe jako czynnik handlowy, p. Wacław Iwanowski, Profesor Politechniki. Wychowawcze znaczenie naucz. gosp. domowego, p. Marja Strasburger.

Wszystkie odczyty były nader zajmujące. Prelektki nawoływały do pogłębienia zadań gospodarczych. Kładły duży nacisk na pilne przestrzeganie budżetu, który tylko wtedy można uważać za racjonalny jeśli z drobiazgową dokładnością prowadzić będziemy rachunki, co referowała w poważnym przemówieniu p. Marja Ponikowska.

P. Marja Strasburgerowa w zajmująco opracowanym referacie, nawoływała do krzewienia znaczenia racjonalnej gospodarki domowej w najszerszych kołach kobiecych, co ma i powinno objąć cały kraj od góry — do dołu.

Profesorowie politechniki p. W. Iwanowski i p. Gustaw Szulc, Inst. Higieny, kładli ogromny nacisk na udoskonalenie gospodarstwa domowego, czyniąc nas, niejako odpowiedzialnymi za zdrowie, siły i ciężne narodu.

I dodać należy, mieli zupełną rację. Bo jeśli się obserwowało gospodarstwa krajów obcych, Francji, Niemiec, Belgii, Anglii, to wyznać należy, że i na tym punkcie, tak zresztą, jak na wielu innych, zostaliśmy o sto lat opóźnieni. O te właśnie, ponad sto lat, niewoli. Ale to było. To już minęło.

Mamy wolność, mamy możność inicjatywy jak najszerszej idącej. Mamy władze, do których możemy być dopuszczone z każdą użyteczną inicjatywą. Odczuwamy wszystkie, jak daleką od dobrego stanu jest nasza gospodarka. Dobrze, że sprawa ta poważnie jest traktowana, doskonale, że zebranie było na Zamku Królewskim, że objęła je pani Prezydentowa — co dla sze-rokich kół nadało to jej cechę tej pierwszorzędnej wagi, jaką jest w istocie.

A teraz, czekamy dalszego ciągu. Pamiętam, przed laty, kiedy się znalazłam na stały pobyt w Krakowie i zorientowałam, że jednak język niemiecki będzie mi często potrzebny, a mam go zaniedbany, poprosiłam jakiegoś profesora szkoły o pomoc. Otóż mój praktyczny nauczyciel tłumaczył mi dlaczego nie mamy wolności politycznej.

„Oto — dla tego, że wasze kobiety ani w mieście, ani na wsi nie umieją gotować, źle odżywiają swoich mężów — stąd niezdołność do skutecznej obrony Ojczyzny“.

Całej niebyło w tem prawdy, jak zresztą często we wszelkich apodyktycznych jednostronnych twierdzeniach. Ale, że część prawdy tkwiła — to niezawodne, bo, że brak naszej racjonalnej gospodarki, odbija się bezsprzecznie na fizycznej i materialnej stronie naszych poczynąń, tego nikt właśnie zaprzeczyć nie może, kto miał sposobność zetknięcia się z różnymi warstwami naszego społeczeństwa.

Niemamy organizacji takiego przygotowania. ułatwiającego nam gospodarke, jaką ma oddawna cała zagranica. A nie mamy dla czego, skoro nasza kuchnia ma dobrą renomę? Niemamy, bośmy to zaniedbywały, bo przecież, mając 65 proc. gospodarstw rolnych — nie miałyśmy nigdy sklepów w Warszawie, któreby nam zapewniały racjonalnie dobrany zapas spiżarniany ze wsi, zdrowy, czysty, otrzymywany bezpośrednio z pierwszej ręki. Tej organizacji, nawet Moskal nie byłby nam zabronił, a jednak nie miałyśmy jej i niemamy.

Czy mamy na ogół, dobre masło, czyste mleko, piękne pulardy, mięso, kurczęta?... To się teraz zaczyna robić. Ale kto wie, czy doszłoby do tej biedy na wsi jaka jest, gdyby się to było robiło dawniej. A przecież bieda na wsi to i bieda w mieście. Więc chwalić Boga, że o tem się nagwałt myśli, że już nad mlekiem rozpostarta piecza i że „Panie Domu“, ledwo zdążają sprawdzać czystość masła — i że pani Prezydentowa na Zamku Królewskim, daje nam miejsce do obrad nad tą sprawą, która jest istotnie czynnikiem państwowo-twórczym, a którego rozwój i zamienienie go z płynnego dziś jeszcze w stan stały, będzie podwalina nietylko do podniesienia fizycznego, materialnego ale i moralnego naszego narodu. To jest w ręku kobiet i nie przekracza ani ich sił, ani możliwości.

L. Kotarbińska.

AKADEMJA KU CZCI Ś. P. MARJI SKŁODOWSKIEJ-CURIE

Z wielką powagą, w ubiegłym miesiącu, grono uczonych i zgromadzonej inteligencji, oddało cześć pamięci wielkiej uczonej: na terenie Teatru Wielkiego.

Scena niezwykle piękny przedstawiała widok. Pośrodku na wzniesieniu stała, cudna biała postać, w którą świetna rzeźbiarka p. Nitschowa zakłęta wszystką treść wielkiej Zmarłej. Okalała ją zieleń. Dwie flagi — o barwach polskich i francuskich — chyliły się przed nią. A u stóp posągu — uczeni nasi stanowili straż. Pierwszy w podniosłych słowach uczcił pamięć zmarłej, a wiecznie żywej, J. Magnificencja Rektor Uniw. Warszawskiego prof. Stefan Pieńkowski, poczem nastąpiło przemówienie p. M. Wyzn. R. i Ośw. publ. Wł. Jędrzejewicza, p. Ambadora Francji Jules Laroche'a, prez. m. st. Warszawy Stefana Starzyńskiego, prof. Uniw. Dr. Cz. Białobrzęskiego, prof. polit. Lwowskiej Dr. Alicji Dorabalskiej, prof. Dr. A. Czyżewicza, prof. Dr. L. Wertensteina.

W pełnej widowni była rodzina uczonej z Dr. J. Skłodowskim, p. Szalayową i p. Dr. Dłuską, twórczynią Instytutu Radowego w Warszawie. Jej to pracy i jej staraniom, jej niezmożonej energii, zawdzięcza zmarła, urzeczywistnienie swego pragnienia, aby w Stolicy Polski stanął gmach, w którym nauka podjęła walkę ze straszną chorobą, jaką gnębi ludzkość, z rakiem, którego w wielu wypadkach zwalcza rad. Szpital pod dyрекcją zdolnego lekarza dr. Łukaszczyka jest stale zapelniony. Pracownie naukowe są w fazie organizacji. Na ich wykończenie potrzeba jeszcze zasobów pieniężnych. Gmach stanął z ofiarnością państwa, rządu i hojnych ofiarodawców całej Polski. Rubryki w pismach otwarte. Zapelnia się niezawodnie tą dobrą wolą ludzi, jakiej u nas nigdy nie brak, kiedy chodzi o cele istotnej wagi.

L. K.

ZDOBIENIE DOMÓW KWIATAMI — TO WPROWADZENIE ODROBINY — RADOŚCI DO ŻYCIA

Nie pod tym względem „Rodzina Polska“ niema sobie do wyrzucenia. Co roku nawołujemy do wprowadzenia tej odrobiny radości życia, jaką niezawodnie daje naszej codzienności te trochę kwiatów, zagląające przez szyby do naszych wnętrz, ten balkon, który otoczony zielenią i kolorową pelargonją czy zwieszającą się białą i różową pełonją, żółtą nasturcją, daje miastom ozdobę, nam osłode, pszczołce pożywienie, bo zjawi się to pracowite stworzenie, niewiadomo skąd, ale się zjawi napewno, żeby z każdego kwiatka wypić słodycz. Więc to wszystko bez wielkiego trudu zrobić należy, zwłaszcza, że pan Prezydent m. Starzyński gorącością serca otacza tę sprawę, zwołuje zebrania, drukuje piękne afisze, zapowiada dostarczanie masowo wyrabianych skrzynek, po przystępnej cenie, byle Warszawa była kolorowa, byle przerwać monotonię szarych murów, byle balkony nie wyglądały jak porzucone puste gniazda, byle wreszcie za wszelką cenę zdobyć, a może zdobywać na stałe uśmiechy, choćby nazewną, i odzwyczać ludzi od tych zgnębionych wyrazów twarzy, które są cechą bieżącej chwili. Często, jeżdżąc tramwajem, obserwuję towarzyszy drogi.

Jakże rzadko widzę jasne oblicze. Jak głęboko wryła się troska ogólnego położenia w kraju.

A jednak, ratuj się kto możesz i jak możesz, byle ją odpędzić, byle jej nie dawać widomych znaków, bo to także zaraźliwe.

Więc niech muzyki grają na placach, niech kwietniki radują oko, niech z balkonów i okien sphywają fontanny kwiecica i niech ten, który ich nie może mieć na własność, choć oko nasyci widokiem, a usta do uśmiechu złoży, bodaj na chwilę. Wiosna już pobudziła w sercach ludzkich potrzebę jakiejś uciechy. Poeci cieszą się słońca promieniem, publicyści tu i owdzie uderzają w pogodną nutę, która ma siłę

twórczą. Do sere wstępuje **wiara**. Przeżyliśmy niewolę, wojnę, po niej lzy i krwawiące rany i żalobę i przeżywamy biedę — którą nam w spadku zostawiła.

Ale od czegoż jest wola, hart!

Tyle dowodów łask Opatrzności doświadczył kraj, tyle nadziei budzi Wolność, tyle krzepkiej młodzieży rośnie, że i biedzie damy radę.

Pogodne na świat patrzeć, radość z tego, że się żyje, powinny być stałymi składnikami naszych wewnętrznych nastrojów.

Jeśli dusza i ciało zdrowe, to nawet wśród burz i huraganów utrzymać równowagę i rozjaśniać horyzont wewnętrzną jasnością — należy.

Zresztą od czego autosugestia? Powtórz sobie głośno parę razy, że jesteś szczęśliwa, i ani się spostrzeżesz, kiedyś w to uwierzyła, a wślad zatem zaczniesz sugestjonować swoje otoczenie, bliskich, dalszych — kogo się da.

Przecież nie wolno tylko narzekać. Trzeba radzić, szukać sposobów zmiany położenia. Pomagać sobie i innym ile wzmoczonej woli — choćby do entuzjazmu.

Entuzjazm to także siła. Nie tamować, podsycać go należy. Więc nie daj powtarzać ludziom: „co nam myśleć o kwiatkach, kiedy dzieci głodne“.

Odejmiemy sobie od ust dla nakarmienia jednego choćby dziecka, ale jednocześnie nie omijajmy żadnej sposobności do barwienia życia, które ma setki i setki odcieni i strun. Niech się nic nie zacięra, niech nic nie rdzewieje. Niech kwiaty kwitną za naszym staraniem. Niech przytem zarobi: ogrodnik, stolarz, i niech miasto — nasza kochana Warszawa, która choć dużo ogarnia biedy i trosk, sama będzie radosną, dodając nam otuchy i wiary w pogodne — bez zastrzeżeń — jutro.

L. Kotarbińska.

ECHA MINIONYCH CHWIL

W Krakowie, zebranie u prezesa Związku zawodowego literatów polski. Karola Huberta Rostworowskiego, pod przewodnictwem prezesa m. Krakowa dr. Kaplickiego, pp. Kazimierz Kumaniecki, naczelnik Dr. Władysław Zawistowski, prof. Wład. Folkierski, St. Pigoń i Tadeusz Kudliński przyznali nagrody literackie jednomyślnie: Zygmuntovi Nowakowskiemu za powieść p. t. „Start Edmunda Sulimy“ i Anieli Gruszeckiej-Nitschowej, za powieść p. t. „Przygoda w nieznanym kraju“.

Nagrody były w wysokości 2.000 złp. Dodac należy, że nowo wyszła powieść Zyg. Nowakowskiego p. t. „Rubikon“, należy do jednej z najświetniejszych książek z dziedziny bele-

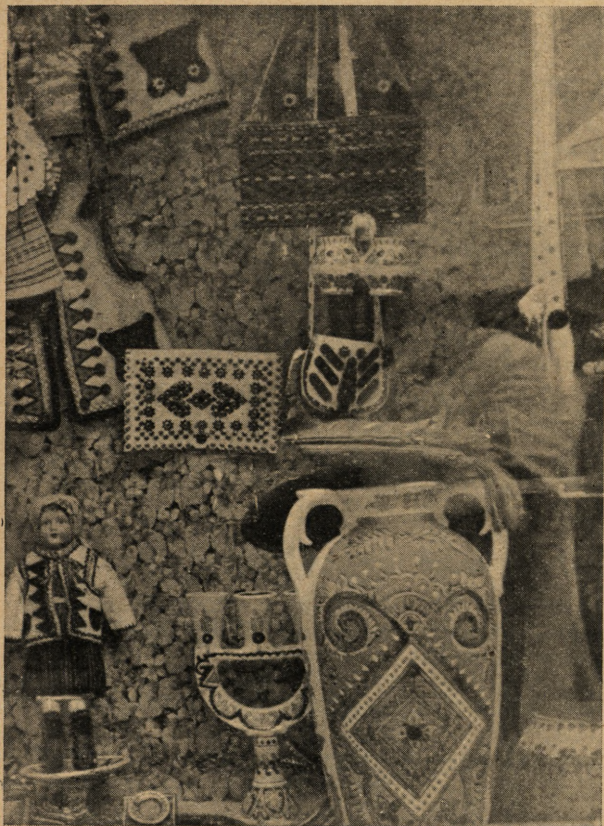
trystyki ostatnich dni, i że każda matka przeczytać ją winna. Tyle tam życia schwytanego na gorącym uczynku, a tyle serca i życzliwości dla młodego pokolenia, że są rozdziały, których niemożna czytać bez najgłębszego wzruszenia.

W Warszawie Związek Autorów dramatycznych polskich, pod przewodnictwem Wacława Grubińskiego, prezesa, Zw. w składzie jury J. Lorentowicza. A. Grzymały-Siedleckiego, J. A. Hertza. Zdz. Kleszczyńskiego, przyznało nagrodę p. Antoniemu Cwojdzickiemu za sztukę p. t. „Teoria Einsteina“, którą wystawia Teatr Reduty. Sztuka idzie setne razy i godna jest widzenia.

ZDOBNICTWO HUCULSKIE

Huculsczyzna stała się od roku 1891 bardzo modnym letniskiem, zwłaszcza, gdy stanął w Kosowie zakład przyrodolecznicy Dr. Apolinarego Tarnawskiego.

Kosów, stolica powiatu, leży w rozległej kotlinie wśród Beskidów nad rzeką Rybnicą, wpadającą do Pru-



Zdobnictwo huculskie w Kosowie.

tu. — Lud żyjący na Huculsczyźnie jest szczególnie uzdolniony w kierunku zdobniczym, toteż sztuka huculska zdobyła sobie szeroki rozgłos zagranicą.

Najdrobniejszy przedmiot użytkowy musi być rzeźbiony, wykładany perłową masą, nabijany paciorkami lub

gwóździkami, naszywany barwną skórką, lub haftowany bawełną i włóczką.

Wnętrze chaty wystlane bywa puszystymi kilimami zwanymi „liźnikami”, oryginalne garnki, miski, dwójczki, świeczniki i dzbany są wzorem ludowej ceramiki. Ubiór mieszkańców Beskidów Wschodnich dostosowany jest do życia pasterskiego i terenu górskiego. Koszule białe, barwne wyszywane różnobarwną wełną, lub bawełną Nr. 12. Ale najpiękniej bywają zdobione białe skórzane kozuski bez rękawów zwane „keptarami”.

Naszywają je czerwonymi lub zielonymi skórkami safianowymi. Skórki te przypinane są kapslami lśniącymi jak złoto. Wokół motywu skózanego wije się barwny haft wyszyty włóczką kolorową. W stroju kobiecym zwracają uwagę dwa fartuszki zarzucone na grubą koszulę z przodu i styłu. Fartuszki te zwane „zapaskami” tkane są z niebieskiej, czerwonej lub zielonej wełny, przetykanej srebrną nicią, a na tem tle snuje się piękny geometryczny wzór, pojawiający się również w kilimach, wybijankach, i pisankach wielkanocnych.

Podziśdziem barwią Huculi wełnę wé własnej chacie barwnikami roślinnymi z różnych ziół i kory drzewnej. W sztuce tkackiej ogromnie wydoskonali się Huculi. Znane są w szerokim świecie barwne „werety” portjery, haftowane ręczniki, mogące dostarczyć wzorów do naszych letnich sukien, bluzek, torebek i różnych ręcznych robótek. Tkacze i tkaczki, Huculi, wyszywają swe wzory na płótnie, łącząc motyw haftu z barwnym tłem tkaniny.

Wąskie, kolorowe wzory z ręczników, piękne wykończenia z „keptarów” z Kosowa i „bajbaraków” z Doliny, można stosować z powodzeniem w obecnej modzie miejskiej, a próbki tych wzorów, długości 10 cm., wyszytych, na płótnie, otrzymać można za pośrednictwem Rodziny Folskiej, nadsyłając równocześnie z zamówieniem cztery znaczki pocztowe po 25 gr. na koszt wysłania.

Na fotografii widzimy liczne przedmioty sztuki huculskiej, a wśród nich kilka torebek z białego sukna zdobionych safjanem i nabijanych kapslami. Inne z tkaniny niebieskiej ze srebrem, lub złotem.

Jest również śliczna lalka w oryginalnym stroju huculskim, która napewno rozbudziła by w naszych kilkoletnich kobietkach zamiłowanie do rodzimej sztuki ludowej.

Marja Stefkowa.

ZŁOTE MYŚLI.

Chociaż nie skończysz, ciągle rób,
Ciebie, nie dzieło zamknie grób.
Choć tu dla czynów krótko nas,
Czas wszystko skończy, bo ma czas.

Brodziński.

U leniwych — zawsze święto.

Rysiński (wiek XVI).

Cudności inna przyczyna nie jest, jeno piękność duszna, bo
dusza, mając cząstkę prawdziwej piękności, rozświeca i czyni
każdą rzecz piękną.

„Dworzanin” Łukasz Górnicki.

Nędza, pieśń, kij, sztylet, djabie pazury — wszystko to są
żądla i uktucia komarów w porównaniu ze straszną chłostą,
przez jaką przepuszcza mędrzyzna kobiecy język.

„Pisma” — Aleksander Świętochowski.

Ten jest prawdziwie samotny na ziemi,
kto nawet współczuć nie umie z drugimi.

Adam Asnyk.

Najlepszym synem ojczyzny swojej jest człowiek najlepszy.

Eliza Orzeszkowa.

Wielkie bóleści leczą się tylko wielkimi trudami.

Eliza Orzeszkowa.

Nieszczęście jak miłość wiąże ludzi z sobą.

Zygmunt Krasiński.

Miłosierdzie jest drugą purpurą królów.

Zygmunt Krasiński.

Dobro wyświadczone ludziom przemija;
prawdy, które im się zostawia — są wieczne.

Curler.

POŻYTECZNE ROBOTY

W połowie lutego r. b. mieliśmy możliwość zapoznania się z pracą Kursu Przemysłu Artystycznego, prowadzonego przez p. Marję Gołąbową. Ułatwiła to miła, bezpretensjonalna wystawa, zorganizowana na zakończenie kursu.

Kierowniczką i wykładowczynią w jednej osobie, udzielała chętnych wyjaśnień, zarówno z dziedziny technicznej, jak i ideowej samej placówki.

Powołanie do życia Kursu Przemysłu Artystycznego miało cel podwójny. Przedewszystkiem **krzewienie smaku** i poczucia artystycznego wśród szerokich mas, przez szkolenie jednostek w wytwórczości przemysłowo-artystycznej. Ułatwi to kobietom zdobienie, nawet w dzisiejszych ciężkich warunkach, własnych wnętrz drobiazgam i istotnych wartościach artystycznych.



Pozatem ukończenie pełnego Kursu (8-mio miesięcznego) w wielu wypadkach może dać jednostkom uzdolnionym i zamiłowanym sposobność łatwego zarobkowania — na terenie własnego domu. A to szczególnie dla kobiet zamężnych i obarczonych obowiązkami macierzyńskimi, staje się niekiedy szkopułem nie do przeczytania.

Kurs pierwszy (4-ro miesięczny) obejmuje następujące specjalności: metaloplastykę, wytłaczanie i malowanie na skórze oraz malowanie tkanin.

Kurs drugi (4-ro miesięczny) zawiera: tarso, (intarsja, inkrustacja w drzewie), emalję na szkle i na metalu, oraz malowanie na porcelanie. Na żądanie — nauka abażurów i kwiatów dekoracyjnych.

Ekspozycje zamieszczone na wystawie dały żywy obraz praktycznego zastosowania tych umiejętności w życiu.

Pomijając zręczne abażury, kwiaty i drobiazgi skórzane, mimowoli skoncentrowała się uwagę na efektach metalowych i drewnianych. Jakże prostymi środkami zwyczajny talerz z drzewa przestaczał się w artystyczną podstawę lub bodaj popielniczkę, w zależności od rozmiarów i kształtu. Albo też szklana butelczka od perfum, czy wody kolońskiej w pełen wdzięku flakon, zdobiący toaletę. Te przestoczenia osiągnięte były przez artystycznie stosowane kawałki metalowe, nałożone na te proste przedmioty. Drobną ozdobę toaletową, jak modne dziś pendelki, medaljony, bransolety, dopraszają się jaknajszybszego spopularyzowania przez masową produkcję.

Czy to nie byłaby najprostsza droga do walki z zalewem rynków naszych przez zagraniczne błyskotki, a co zatem idzie i daniem możliwości zarobku setkom rąk kobiecych.

Marja Ankiewiczowa.

DWIE LETNIE SUKIENKI DLA DZIEWCZYNEK OD 4 DO 10 LAT I UBRANKO DLA CHŁOPCZYKA DO 8 LAT

Sukienka dla młodszej dziewczynki z muślinu białego albo kolorowego, ozdobiona haftowanymi motywami. Z przodu u góry karczki, potem szeroka kontrafałda, z trzema zaprasowanymi fałdami po bokach. Pasek tego koloru co kwiatki. Na kapeluszu kwiaty w kilku odcieniach tej samej barwy.



Sukienka dla starszej dziewczynki z gładkiego kreponu, albo drukowanego w drobne kwiatki. Jeżeli krepon drukowany, to pasek i obwód koło szyi w kolorze drukowanych motywów — o ile zaś sukienka uszyta z gładkiego materiału, to kolor przybrania dowolny. Rękawki i boki plisowane.

W ubranku dla chłopczyka spodni z granatowego płótna, z głębokimi kieszeniami po bokach. Bluzka biała z cienkiego płócienka albo szyrtingu. Przęd, kołnierzyk i mankiety ozdobione haftem.

Motywy do haftów można zawsze otrzymać za pośrednictwem p. Stefkowej, która specjalnie zajmuje się haftami ludowymi, obecnie tak bardzo modnymi, a do ubrań dzieciennych i bluzek dla pań zupełnie odpowiednimi.

El. Kotwicz Onichimowska.

Przy
hemoroidach

(KRWAWIENIE, SWĘDZENIE, PIECZENIE, BÓLE)

CZOPKI
i MAŚC "VARICOL"

GASECKIE 80

DO NABYCIA W KAŻDEJ APTECE

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Każda z matek wiedzieć już powinna, ale co przypomnieć można, że kuratorja szkolne otrzymały rozporządzenie departamentu szkół średnich Ministerstwa Oświaty w sprawie tegorocznych egzaminów maturalnych.

W roku bieżącym egzaminy maturalne w

szkołach, objętych przez warszawskie kuratorjum, odbędą się wcześniej, niż w latach poprzednich. Część szkół (I-szy termin) rozpocznie egzaminy piśmienne dnia 13 maja, część (II termin) — 20 maja. Egzaminów ustne rozpoczną się w pierwszych dniach czerwca, przytem mają być zakończone najpóźniej dnia 22 czerwca, aby nie przekroczyły terminu zakończenia prac szkolnych w całym gimnazjum. Stało się więc zadość prośbie sfer nauczycielskich, które właśnie o ten wcześniejszy termin egzaminów dojrzałości zabiegały (memo-rjał T. N. S. W. do p. ministra oświaty).

W regulaminie przeprowadzenia egzaminów żadnych zmian nie wprowadzono.

Wiedzieć nie tylko powinna, ale nawet musi każda kobieta polska, że dzieci giną nam z głodu, że ludzie pozabwiają się życia z biedy, że wzrasta się występki i zbrodnia, i że w znacznej mierze tę niedolę zmniejszyć możemy, należąc do organizacji „Caritas“, której protektorem jest J. Em. Ks. Kardynał Aleksander Kakowski.

Całe społeczeństwo musi wziąć udział w akcji stałej, bo tylko tą drogą będzie ona skuteczną. Bodaj najdrobniejsza ofiara, ale oznaczona miesięcznie, pozwoli na ra-

cjonalne ułożenie budżetu i w ślad za tem na stałą pomoc dla tych, którzy bez niej giną w rozpacz.

Składki wpłacać można na konto instytucji Caritas w P. K. O. nr. 25.890, lub uiszczać inkasentowi, który się stawi na wezwanie telefoniczne pod numer 5-23-57 (Senatorska 31). Dodać należy, że na intencję członków odprawia się każdego miesiąca Msza św.

Członkowie, płacący przynajmniej dwa złote miesięcznie, mają prawo nabycia na drzwi tabliczki z napisem: „Członek Kat. Zw. Caritas, — wsparcia udziela za mnie Caritas“.

Caritas dożył w ubiegłym roku 3 175 rodzin bezrobotnych, wydając 603.950 obiadów i paczek żywnościowych na sumę 379.674 zł.

Pozatem prowadził świetlice i ochronki, kolonje i pół-kolonje dla dzieci. Rozdawał zdobyte dary w naturze. Dokonał 78.827 odwiedzin w rodzinach najbiedniejszych, połączył sakramentem małżeńskim 361 „dzikich“ małżeństw, dał pracę 515 osobom.

Woła o pomoc wielkim głosem, bo się z tą nędzą spotyka naco dzień i o zmiłowanie — błaga!

ORYGINALNE PROSZKI
„MIGRENO-
NERVOSIN“
R.M.S.W. N:1599
ZNAK FABR.
Z KOGUTKIEM
SA ŚRODNIEM
KOJĄCYM BÓLE
ZASTOSOWANIE:
BÓLE GŁOWY
MIGRENA, NEURALGJA
BÓLE ZĘBÓW
GRYPA, PRZEZIĘBIENIA
BÓLE: ARTRETYCZNE,
STAWOWE, KOSTNE I.T.P.
ZŁOŻĄCIE ORYGINALNYCH PROSZKÓW
ZE ZN. FABR. **KOGUTEK**
SPRZĘDAJA APTEKI



ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Warszawski Klub Wioślarek, p. sekretarka Sz... pewno nawet niedomyśla się jaką wielką radość sprawi nam Jej miły list, wyrażający podziękowanie za naszą przychylną wzmiankę o działalności Wioślarek. Bo, przecież to nie było nic innego z naszej strony, tylko skromnie wyrażone uznanie dla chlubnej pracy Klubu, a tyle serca w odpowiedzi. Ten liścik raz jeszcze dowiódł, jak wyszlachetnia dusze ludzkie obcowanie z naturą.

P. Wandzia Ols... z Tarnowa. Piękne kilimy znajdzie pani we Lwowie. Największa w kraju wytwórnia artystycznych kilimów Michała Czamuły w Glinianach, ma główny skład we Lwowie przy ul. Rutowskiego 1. Widzieliśmy je w dużej ilości w Warszawie i ręczyć możemy, że zadowolą najlepsze w tym kierunku gusty i odpowiedzą zapotrzebowaniom. Ceny są przystępne.

Pannie Andzi... — w Serocku. Do wszelkich wycieczek sportowa sukienka z żakietkiem, paskiem i skromną czapczką jest zawsze najdogodniejsza. Sądzymy jednak, że dobrze jest mieć pod żakiet, na zmianę dwie bluzki, kierując się staroświeckim: jedna na mnie druga w wannie, co daje zawsze wygląd świeżości, czego zaniecbywać nie należy.

P. K. W. na Sewerynowie. Siedziba Instytucji, jednej z najpożyteczniejszych. „Dzielmy się“ mieści się przy ul. Mochackiego 11. Zawsze czynna, zawsze z wdzięcznością przyjmująca choćby jedno jajko, jedną bułeczkę, byle codziennie. A za jednorazowy datek także: Panie Boże zapłać!

Pobożnej duszy... Niejeden kapłan uległ ciężkiemu losowi podczas prześladowań wiernych sług Kościoła w Bolszewji. Pamiętamy, że na wyspy Sołowieckie, puste i o złym klimacie, wywieziono kapłana katolickiego, ks. Dworzeckiego, proboszcza kościoła potrynitarskiego w Kamieńcu Podolskim. Ale, co się z nim dalej dzieje — nie wiemy. Zresztą, Kościół katolicki i jego wierni słudzy, doświadcza prześladowań w obecnej chwili nie tylko w Bolszewji. Ale silną jest opoką — wiara — która w niwecz obraca największe katusze, aż do opamiętania tych, którzy je zadają — niewiedząc co czynią. Bóg da, że otoczeni Jego opieką — przetrwają.

P. Anna Z. — z kolonii Staszica — zapytuje nas telefonicznie o numer połączenia z zegarem automatycznym, co przeczytała w ogłoszeniach. Numer zegara jest 05, Dotąd bez zmiany.



Już kilka pokoleń gospodyń przekonało się, że mydło Jeleń Schicht, wyrabiane z najszlachetniejszych surowców, jest łagodne i wydajne w użyciu i nie niszczy bielizny.

Zwracajcie uwagę na nazwę Schicht i markę „skaczącego jelenia“. Odrzucajcie bezwartościowe naśladownictwa!



MYDŁO JELEŃ SCHICHT



ROZRYWKI I GIMNASTYKA SŁOWA



POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

DRUGI KONKURS KWARTALNY.

(Ciąg dalszy).

Termin nadsyłania rozwiązań zadań trytygodniowy, licząc od daty otrzymania numeru.

CYKL „SZARADY RELIGIJNE“

ku czci Najśw. Panny Marji.

(Ciąg dalszy).

(Po 4 punkty — razem 12).

IV.

Gdy trzeci obłudny boleśnie zawiedzie,
w zawrotne dwa-czwarte pociągnie za sobą,
na dzikie wertepy w szaleństwie powiedzie,
goryczą napoi, okryje żalobą, —
to wówczas, o Pani! Twej trzy-czwartej-

[płatej
wywidły z manowców, prostując drogę
[skręty
i siałę dokoła pociechę Twej łaski.
Raz-druga ożywcza! Niech czyste Twe

[wody
splywają zbawieniem na dusze zbolale;
niech serca obmyją z zawiści, niezgody
i wnoszą do pracy ramiona omdlałe!
O święta Panienko! O nasza Ty Cała!
Rozlewasz wkrąg światło jak trzeci szeroki,
dobroci Twej światłość przedwieczna,
[wspaniała
prześwieca sumienia, nurt życia głęboki!

V.

Kiedy rodzina znajdzie się w rozterce,
gdy burza huczy nad jej małą chatką,
gdy dwa-pięć dusza, gdy krwawi się serce,

Ty Pani, stań się wówczas dla niej Matką!
Niech czwarty zgody zjednoczy ich serca,
o trzy-czwór-piąta, cudna, dobra Pani!
Niech jad zepsucia, co dusze uśmierca,
biednych rozbitków nie truje, nie rani!
O pierwsza-druga wyczystej miłości
niech pięć tym świecie źródl lask Twych
[zagości!

Ziej pięć to życie przebaczeń Twych zdroje,
bo ziemia woła: „Przyjdź Królestwo
[Twoje“!

Niebios trzy-czwarty niech nam przypo-
[mina
Ciebie Panienko pięć Niebieskim Tronie,
niech Sakramentem złączona rodzina
staje gorąco w świętych praw obronie!

VI.

Trzy Tobą, o Pani, kłękają narody
i czwór-raz Cię długich uwielbia pokoleń,
miłości Twych dzieci masz liczne dowody,
więc cześć Twą rozgłaszaj dziś na nas
[jest kolej.

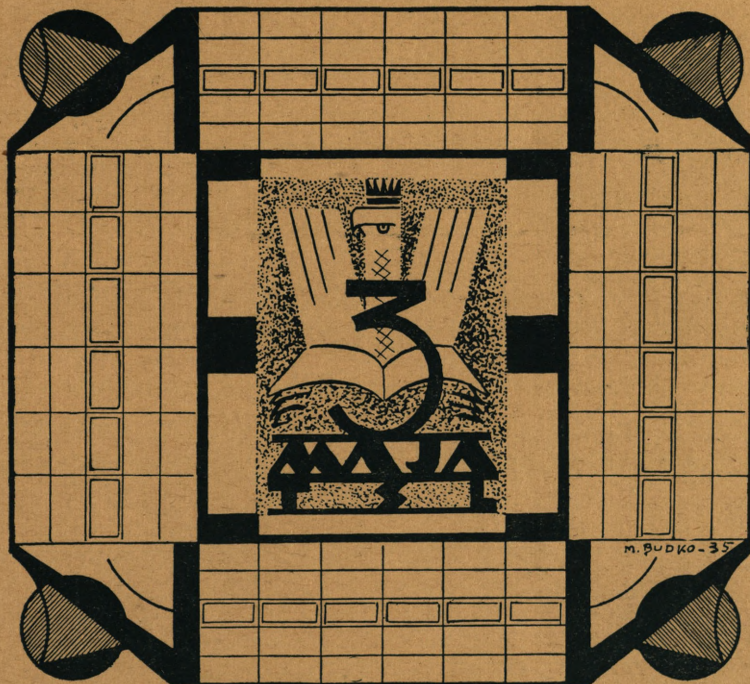
Bóg trzy-czwór-piąty w Swej wielkiej
[mądrości
uczynił Cię Matką Chrystusa-Człowieka;
Tyś Panią jedyną dla całej ludzkości,
miłuje Cię naród i laski Twej czeka.
Miecz obu-dwa-piąty Ty kruszysz Swą

[dłonią,
boś czysta, bez zmazy, boś Niepokalana,
niech moc Twoja święta przed złem nas
[obroni,

Ty strzeż nas, o Pani, od sideł szatana!
Raz-drugi pachnący żywicą, ziołami,
bogaty w modrzewie, sosenki i jody,
ozdobny w paprocie, zasłany wrzossami,
znużony wedrowiec do Ciebie śle modły!
W rozterkach, zmaganiach i w szczęścia
[pogoni
niech cisza Twa cały przed życiem nas
[chroni!

H. Mokrzycka (czł. Kl. Sz.).

LOGOGRYF MAJOWY (5 pkt.).



W kratki figury należy wpisać dośrodkowo, od lewej ku prawej, 24 wyrazów pięcioliterowych o niżej podanych znaczeniach. Litery w kratkach obramowanych, czytane w kierunku zegarowym, dadzą aktualne rozwiązanie, które podać można bez wyrazów pomocniczych.

Znaczenia wyrazów: 1. Lanca. 2. Magnat hiszpański. 3. Autor „Ilijady”. 4. Gat. ziemi. 5. Roślina lecznicza. 6. Utwór

Sienkiewicza. 7. Kłamstwo. 8. Gęste lasy w Syberji. 9. Zakuta głowa (gamajda). 10. Choroba. 11. Narzędzie roln. 12. Spokój (milczenie). 13. Stolica w Europie. 14. Uzda (munsztuk). 15. Zły duch. 16. Ptak z rodz. wróblowatych. 17. Drzewo indyjskie. 18. Zastona u okna. 19. Kobierzec. 20. Kokietowanie. 21. Tańce. 22. Hałas. 23. Oprzędz poczwarki jedw. 24. Partja osób.

B. Budko (czł. Kl. Sz.).

ROZWIĄZANIE ZADAŃ

IV KONKURSU KWARTALNEGO 1934

zamieszczonych w numerach: październikowym, listopadowym i grudniowym „R. P.”, na które złożyły się następujące zadania (z wyszczególnieniem ilości punktów za rozwiązania):

1. Szarada (J. U. Wonschowa) . . . 4
 2. Logogryf (W. Nosé) . . . 3
 3. Gwiazda Pitagorasa (B. Paluszek) 5
 4. Szarada (J. U. Wonschowa) . . . 4
 5. Krzyżówka (N. K. Kozłowski) . . . 6
 6. Krzyżówka magiczna (W. Nosé) . . 3
 7. Szarada (A. Mieczkowski) . . . 5
 8. Konikówka (E. Wieliczko) . . . 4
 9. Wąż krzyżówka (T. Sobiecki) . . . 6
 10. Rebus (J. Alis) . . . 5
 11. Figielki szar. („Smok”) . . . 4
 12. Zagadki (N. K. Kozłowski) . . . 4
- Ogólna ilość punktów możliwych do zdobycia wynosiła zatem: 53.

1. SZARADA

Nasi zwyciężyli!

2. LOGOGRYF

Kapitan Bajjan niech nam żyje!

3. GWIAZDA PITAGORASA

- I. Sardynka. Tarantela. Tentacja.
 - II. Taksacja. Delegacja. Demencja.
 - III. Dyrekcja. Kolonista. Kamizela.
 - IV. Karabela. Marmelada. Małżonka.
 - V. Maślanka. Safanduta. Szatynka.
- Między promieniami: 1. Sodalis. 2. Taboret. 3. Dyskord. 4. Kauczuk. 5. Monogram.

4. SZARADA

Królowie przestworzy.

5. KRZYŻÓWKA

1. Święto narodowe Polski.
2. Polski Parnas.

6. KRZYŻ MAGICZNY

Katarakta. Mikroskop. Komasaacja.

7. SZARADA

Kobiety nie bij nawet kwiatem.

8. KONIKÓWKA

Cierpienie to pierwsze, czego trzeba się uczyć, bo w przyszłości ta nauka największą się przyda. Rousseau.

9. WĘZOWNICA-KRZYŻÓWKA

Figura lewa: Gwarancja, altówka, Azor, wzór, rafinada, arlekin, nenufar, rubież, żywotnik, kinematograf, fantazja, anegdota, apartament, Tondos, seminarjum, mag. — Figura prawa: Szantażysta, akwarela, akwaforta, atawizm, mundur, rozelan, narkotyk, kardan, nastroj, jut, tarok, kantar, rusznikarz, zet, tabletki, akantus.

10. REBUS

Reklama, to nieciekawym przedmiotem lami-głównki.

11. FIGIELKI SZARADOWE

1. Obrażona — (d)obra żona.
2. Koniecpolski.

12. ZAGADKI

I. Dlatego, że: Carmen pisze się przez C, kto przez k, choć przez c, rzadko przez r, można przez m, nigdy przez n.
II. Rymarz, bo robi na łąb, na szyje.
Zgodnie z warunkami konkursu przypadały w drodze losowania, następującym osobom — książkowe

nagrody kwartalne:

p. Słowikowski Z. Warszawa,
p. Jodłowski J. Piaseczno;

nagrody miesięczne:

p. Nosé W. Anin.
p. Kozłowski N. K. Warszawa;

nagroda autorska:

p. Mieczkowski A. Wilno.
Nagrody zostaną w dniach najbliższych rozesłane pocztą. Po otrzymaniu prosimy o potwierdzenie odbioru.

M. Śl.

„RODZINĘ POLSKĄ“

SZARADZIŚCI POPULARYZUJĄ

Sprostowanie. W logogryfie, umieszczonym w numerze 4, należy w „Znaczeniach wyrazów” poprawić końcowe znaczenia: 9. Religja. 10. Ulubione zabawki dziewczynki. 11. Roślina. 12. Narz. rolnicze.

ZE ŚWIATA RADJA

Oświadczyń dawniej, a dziś.

Z oddalonego salonu, przez wiele drzwi, do buduaru pani Loise Desprez dobiegają wesołe dźwięki jazowej muzyki. Pani Desprez, wytworna srebrnolosa starsza dama, rozgrywała partję bezika z panem Philippe d'Alban, przyjacielem od najmłodszych lat, który mimo podeszłego wieku zachował pełną elegancję sylwetkę, roztaczającą dokoła zapach ambry, której dodawała powagi i dostojności siwa, pięknie utrzymana broda.

— Mój kochany panie Filipie, proszę wypalić swoje cygaro.

— Moja droga, czyż ośmieliłbym się palić w pani pokoju?

— O, teraz palą wszędzie, w całym domu, a pan jest przecież niezwykle uprzejmy, że poświęciłś dzisiaj wiesz-czór dla dotrzymania mi towarzystwa.

— Pani! Przecież to dla mnie największe szczęście, być blisko niej. Uważam jednak, że pani poświęca się zanadto, oddając całe mieszkanie do dyspozycji wnuczki swej Jacquelin. Bo jakkolwiek uważam, że wnuczka pani jest najbardziej uroczą dziewczeczką, to jednak tyrani-kuje panią, a pani spełnia wszystkie jej kaprysy.

— Tak, to prawda. Przrzekłam jednak sobie, biorąc ją na wychowanie po tragicznej śmierci jej rodziców, że uczynię ją szczęśliwą.

— Szczęśliwą... Czyż dzisiejsza młodzież zna wartość szczęścia... Przecież oni myślą tylko o sportach, o wynalazkach, to w życiu ich odgrywa najważniejszą rolę? Chociażby pani wnuczka: ciągle gra w golfa, w tenisa, buduje krótkofalowe stacje radjowe, kieruje samochodem, uczy się prawa i ciągle w towarzystwie Jean Marest. Czy on myśli się z nią ożenić? Nie! Czy ona go kocha, czy chce wyjść za niego zamąż? Nie! Tak, kochana pani Desprez, minęły już czasy naszej galanterji, wierności, czasy pełne czaru...

Tu pan Philippe d'Alban zamilkł, smutnie schylił głowę, rozgrywając ciekawą partję bezika. Do cichego buduaru nie docierały już dźwięki jazowych melodyj. Jasna lampa oświetlała dwie siwe, wytworne głowy, pochylone nad stolikiem...

— Już północ, muszę panią pożegnać, kochana pani Desprez...

— Tak jest, już późno, goście mojej wnuczki pewnie się już rozeszli, jest tak cicho. Ale dlaczego Jacquelin nie przyszła powiedzieć mi dobranoc. Pójdźmy do niej!

Przeszli przez szereg pokoi. W jednym z nich na szerokim tapczanie, z głową ukrytą między rękami, bezgłośnie kłaka Jacquelin.

— Jacquelin, dziecko moje, co ci się stało?

— Nic, to nic, to tylko Jean Marest dzisiaj nie przyszedł... wyjechał z Solan-ge.

— I ty płaczesz?

— Tak, napisałam do niego, żeby więcej nie przychodził...

— To dobrze!

— Dobrze? Jean już więcej napewno nie przyjdzie...

— Niewiadomo...

W tej chwili odezwała się krótkofalowa stacja radjowa, umieszczona w kącie pokoju. Jacquelin podbiegła do aparatu, a po chwili, ku oburzeniu pana d'Alban, twarzyczka jej rozpogodziła się...

— Babuniu, to Jean!!! Pyta się, czy może się oświadczyć o moją rękę... Wyjechał z Solange tylko dlatego, żeby mnie ukarać za flirt z Paul Astier — pyta się, czy może jutro przyjechać... Tak, Jean, tak!

Pan Philippe d'Alban z oburzeniem spoglądał na obydwie kobiety.

— Co za śmiałość, co za odwaga, gdzie jest romantyzm, takich chwil jak oświadczyń. To straszne, prosić o rękę panny przez radio! Po chwili p. d'Alban wyprostował swą wytworną postać, począł się żegnać, a dziwny smutek osiadł na jego czole.

Schylając się na ręką jedynej kochanej przez siebie kobiety — pani Desprez — szepnął:

— Dziwne czasy są teraz... Ale gdybym ja ongiś miał tyle śmiałości co Jean Marest, gdyby wtedy istniało radio... to napewno nie byłaby pani tylko moją przyjaciółką, ale moją żoną, kochana pani Desprez.

Wiosna i lato — sezonem plenerów radjowych.

Okres wiosenny i letni wzmaga ogromnie ilość bezpośrednich transmisji z poza studja, co przyczynia się wybitnie do ożywienia programów radjowych. Niema i nie powinno być ciekawszego wydarzenia czy to w dziedzinie pracy państwowej, społecznej, czy też w dziedzinie sportu, folkloru — jednym słowem niema żadnego ciekawego i interesującego ewenementu, dla którego nie znalazłoby się miejsce w programach radjowych. Zasadą tego działu pracy jest aktualność i jeszcze raz aktualność. Ustalony już wykaz transmisji z poza studja, które odbędą się w miesiącach wiosennych i letnich, stanowi barwną mozaikę tematów, zahaczających o wszystkie te zagadnienia, które mogą i powinny interesować radjosluchacza.

Utopja?

Film, gramofon i radio — wynalazki ostatnich czasów, dziś już niezmiernie ważne czynniki nowoczesnego życia, są od siebie bardzo zależne i uzupełniają się wzajemnie. I to nie tylko dziś — już w samych początkach swego istnienia. Kiedyś będą tworzyły razem z telewizją jednolitą całość przemysłową i artystyczną. Będzie to wielki kompleks, dosięgający tak wysokiego pionu kultury i cywilizacji, że dziś nie jesteśmy w stanie sobie tego wyobrazić! Będzie to środowisko wszystkich możliwych czynności ludzkiego ducha. To nowoczesne połączenie filmu, gramofonu, radja i telewizji — wytworzy największe światowe środowisko wszystkich twórczych sił.

Radio, ewentualnie telewizja filmowa, da nam żywe sprawozdania, szybkie i bezpośrednie. Zmiał przegladów, czasopism i książek będą wydawane „teledruki”, które, słowem mówionem, reprodukcją dźwięków, barwnych obrazów, opowiedzą nam wszystko dokładnie. Pisarz przyszłości będzie czarodziejem, poeta będzie swoje poetyckie natchnienia wypowiadał przy pomocy fantastycznych wynalazków.

Teatr i koncerty przejdą do naszych domów. Będą to artystyczne reportaże, podobne do reportaży sportowych zawodów — na których nie będziemy się cieszili na trybunach, ale będziemy je śledzili ze swego komfortowego fotelu. Ale nowe, istotnie nowe teatry, będą się sku-

piały głównie w radjowych rozgłośniach.

Tu będą eksperymentowali awangardowi artyści ze światłem, barwą, muzyką, dramatem, literaturą i czystą poezją, aż wreszcie usłyszymy: „tanczną sonatę na elektropianinie”.

A jeśli nas to nie będzie zaciekawiało, to poprostu naciśniemy mały guziczek naszego aparatu i będziemy świadkami najnowszej wyprawy na dno oceanu Indyjskiego... albo najnowszego badania i najnowszych eksperymentów nad atomami. Mikrosmos i Makrosmos! A w pośrodku człowieka, któremu tak blisko będą oba światy.

I najostatniejszy poeta z najbardziej zapadłej prowincji nie będzie już pisał o księżycowej nocy: „słowik śpiewa, pachną drzewa”... ale będzie rysował swe inżynierskie fantazje, pełne zdrowego, lirycznego czaru i będzie wypowiadał je wattami, amplitudami, chemicznymi wzorami, logarytmami, sinusami i kosinusami.

Nie będzie oddzielnych działów sztuki. Nie będzie oddzielnych pracowników. Będzie wzorowo zorganizowana wielka całość, otoczona mnóstwem specjalistów. I tak wspólną pracą powstawać będą artystyczne dzieła nowej niezaprzeczanej, wspaniałej piękności.

Tak! Bo już dziś nie dziwią nas sukcesy telewizji. Dziś już jesteśmy zdania, że książki zamieniane akustycznie na dźwiękowe klisze albo filmy wyświetlane telewizorem, albo dzienniki radjowe — to rzeczy niedalekiej przyszłości. Wiemy, że prędzej czy później to wszystko będzie.

Co przyniesie maj.

Maj — stoi pod znakiem transmisji o charakterze wiosennym. Mniej więcej w połowie miesiąca da się odczuć największe nasilenie tych transmisji w programach, kiedy to mikrofony oddadzą nam nastroje wiosenne, panujące w różnych połaciach naszego kraju. A więc: Polesie ze swoim mało znanym, a tak frapującym folklorem i pejzażem wiosennym, dalej Mazowsze, góry i wreszcie podśluchy przyrody — koncert żab i słowików. W pierwszej połowie miesiąca usłyszą radjosluchacze transmisję z Gdyni z portu rybackiego, gdzie zapoznamy się z pracą i trudem rybaka. Dnia 3 maja, zwłaszcza radjosluchaczy mieszkających na prowincji, zainteresuje reportaż, ilustrujący ruch uliczny wielkiego miasta. Będzie to transmisja z jednej z najbardziej ruchliwych przecznic Warszawy. Na wzór reportażu przeprowadzonego kiedyś w uroczystości zaślubin ks. Kentu, nada Polskie Radio dnia 6 i 7 maja, fragmenty uroczystości jubileuszowych ku czci króla angielskiego, które z wielkim przepychem święcone będą w Londynie. Transmisja z Ogrodu Jordanowskiego, która odbędzie się dnia 10 maja — to reportaż o charakterze społeczno-wychowawczym, poświęcony wychowaniu dzieci i poprzedzony interesującą dyskusją o dzieciach ulicy. Zwolennicy muzyki poważnej usłyszą tegoż dnia transmisję „Mesjasza” Haendla z Lipska. W krótkim tym przegladzie nie można pominąć rozgrywek o puchar Davisa między Afryką a Polską, które odbędą się w Warszawie, a których przebieg transmitowany będzie przez rozgłośnie polskie w drugiej połowie maja.

Ten zgóry nakreślony plan uzupełniany będzie automatycznie przez życie. Projekty na dalsze miesiące letnie omówimy osobno.